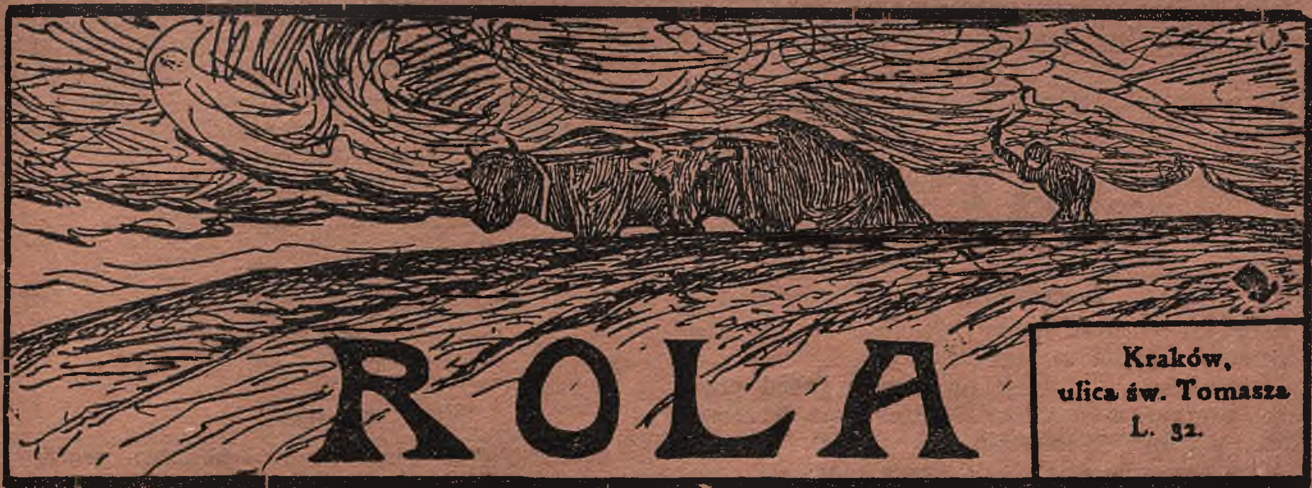
Numer 5. | Nałeż. poczt. opł. gotówką. | Dnia 28 Stycznia 1934



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dostateczna przyczyna.

— Oskarżony, dlaczego daliście mu dwa razy w gębę?

— Bo więcej nie wytrzymał, panie sędzio i przewrócił się.

Instruktor.

— Szeregowiec Makolągwa!

— Sucham, panie sierżancie.

— Przypuśćmy, że stoisz na warcie przed prochownią. Patrzysz, a tu zbliża się ktoś z papierosem w ustach. Co wówczas zrobisz?

— A no, powiadam: ty, psia twoja mać.

— Głupiś! Po co zaraz tak ordynarnie. Mówi się grzecznie: papieros z mordy.

W szkółce.

Inspektor wizytuje szkołę powszechną. Zaczyna od pierwszego oddziału i zwraca się do sześcioletniej dziewczynki z pytaniem:

— Powiedz mi dziecinko, ile jest jeden więcej jeden?

Zalękniona dziewczynka milczy. Nauczycielka, chcąc uratować sytuację, pokazuje za plecami inspektora dwa palce.

Wówczas dziewczynka woła uradowana:

— Panie inspektorze, a pani nauczycielka to prosi wyjść!

W biurze matrymonjalnem.

Właściciel biura: — Niech mi pan wierzy, że takiej łagodnej, pięknej i mądrej panny pan nie znajdzie więcej. Jest to osoba pełna oddania, ofiarna, mówi czteroma językami, maluje, gra na fortepianie, gospodarna, doskonale gotuje.

Klient: — Poco tyle gadania. Niech pan poprostu powie: nie ma ani grosza posagu!

Po trzy...

Na przyjęciu wieczornem u państwa profesorów usługuje przy stole niedawno przyjęta służąca, prawie świeżo ze wsi. Podaje tort. Jeden z gości bierze sobie dwa kawałki. — Marysia zachęca go dobrotliwie:

— Może pan wziąć jeszcze jeden — wyrachowane jest po trzy kawałki na każdą gębę...

Przykład idzie z góry.

Rzecz dzieje się w szkółce powszechnej w Berlinie:

—Słuchaj Kurt — zwraca się nauczyciel do jednego z uczniów — jest was dziesięciu, a macie tylko jedno ciastko do podziału. Cobyś zrobił?

— Wziąłbym mocną pałkę i urządziłbym plebiscyt!

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 5. Rok XVII. Kraków, dnia 28 stycznia 1934.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1934: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·50 zł., kwartalnie 3·40 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ul. św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Powstanie styczniowe.

1863/64 r.

Mimo gigantycznych wysiłków ducha polskiego, powstanie listopadowe się nie powiodło. Bohaterzy powstania musieli chronić się zagranicę przed prześladowaniem Rosji. — Największy despota car i król polski Mikołaj I. z zemsty w okrutny sposób pastwił się nad zwyciężonym krajem. Niszczył wszystko co polskie i pragnął przerobić najświatlejszych obywateli na Moskali. Można było przecież uniknąć jego prześladowań; tylko trzeba było iść za carską ideologją i wyprzeć się swojej ojczyzny, języka, tradycyj polskich — a nawet Boga! A jednak nasi ojcowie nie zrobili tego. Wyrzekli się spokojnego i wygodnego życia za cenę własnej ojczyzny, nie ulękli się prześladowań okrutnika i śmierci. Ducha polskiego podtrzymywała także emigracja polska we Francji i bardzo wpływała korzystnie na swoich braci w kraju. Pod jej to wpływem powstają w kraju związki, stowarzyszenia, mające na celu przygotować społeczeństwo polskie do walki na śmierć i życie z Rosją. — „Podjąć walkę o Polskę w jej dawnych granicach! Połączyć wszystkie warstwy narodu!" To hasła stowarzyszeń. Aby to prędzej nastąpiło, postanowiono uwłaszczyć włościan, t. j. nadać im ziemię, na której odrabiali pańszczyznę. — Już od 1860 roku najbardziej prześladowaną była przez rząd rosyjski Warszawa. Tam w Warszawie nie wolno było brać udziału w nabożeństwach za narodowych bohaterów. Zabroniono odprawiania nabożeństw, jako buntownicze... Zabroniono urządzać obchodów patrjotycznych. Na porządku dziennym rozstrzeliwania i gwałty. Kozacy szarżowali na procesję kościelną, piechota strzelała do bezbronnego tłumu — lała się polska krew. A jednak w kraju wrzało. Nie zamarł duch polskości ani na chwilę. Rosja nawet obawia się poważnie o rewolucję ze strony gnębionych Polaków. Trzeba temu zaradzić! Postanowiła więc urządzić „brankę", t. j. wcielić do swego wojska najgorętszą młodzież polską, by tym czynem uniknąć powstania. Młodzież jednak poczęła masowo uciekać w lasy, tworzyć oddziały partyzanckie. Utworzył się natychmiast „komitet rewolucyjny", który naznaczył powstanie na noc z 22 na 23 stycznia. Wydano również manifest o uwłaszczeniu włościan. Jakże więc uzbrojeni byli ci powstańcy? Nie mieli karabinów, granatów, armat, tylko kosy, siekiery, drągi i strzelby. Broń dopiero później zdobywali na nieprzyjacielu. Listopadowi powstańcy byli o wiele w lepszem położeniu. Tworzyli oni (szczupłą bo szczupłą), ale wyćwiczoną armję. Powstańcy styczniowi kryją się po lasach, tworzą „partje" i szarpią tylko wroga, jak psy niedźwiedzia. Do regularnej walki nie byli zdolni. W nocy więc z 22 na 23 stycznia wybuchają równocześnie walki w Sandomierskiem, Płockiem, w Kieleckiem, w Lubelskiem, w Kurpiach, na Podlasiu, a nawet przenoszą się na Litwę, gdzie utworzono dużo „partyj", a dowódcami ich byli niejednokrotnie chłopi. Powstańcy trzymali się dzielnie. W ciągłych trudach o głodzie i chłodzie, w uciążliwych marszach potrafili nękać nieprzyjaciela, a nawet rozbijać duże oddziały wroga. Myślano, że ta walka o najświętszą sprawę, poruszy obce państwa, które zmuszą Rosję do ustępstw. Pomylono się. Z drugiej strony wydawało się, że powstanie mimo straszliwych warunków ma szanse, ponieważ w r. 1855 Rosja została pokonana na Krymie, a car Mikołaj odebrał sobie życie. Austrja zaś została pokonana przez Francję i Włochy i doprowadzona do opłakanego położenia finansowego, więc musiała być de facto — powolną. Wszystko to jednak było złudzeniem. Powstanie trzymało się jeszcze na chwilę dzięki zdolnym dowódcom, jak: Romuald Traugutt, Langiewicz, gen. Jeziorański, Kruk-Heidenreich, Chmielewski, Czachowski, księża: Mackiewicz, Brzózka i w. in. Po kilku jednak miesiącach powstanie samo upadło. Rozszalało się potworne piekło rosyjskie. Szubienice! szubienice i szubienice! pokryły kraj. Zawisł na niej dyktator Romuald Traugutt, najświatlejszy bohater 1863 roku. Polała się krew za dobrą sprawę 50 tysięcy Polaków zesłali Moskale na katorgi sybirskie. 20 tysięcy młodzieży zginęło w walkach. Rosja zabrała ziemie. Ale mimo to powstanie nie poszło na marne. Dali nasi przodkowie wielkie świadectwo, że polski duch jest niespożyty, że:

Jutro, jak wczora,
„Gdy przyjdzie pora
Proch na proch weźmiem, glinę na ołów
Pożary wstaną z popiołów".
(Kornel Ujejski).

Bohaterowie powstania styczniowego przekazali pokoleniom przyszłym, jak należy miłować ojczyznę i za nią ginąć. A z ich krwi, z ich świętej idei rozbłysła jutrznia wolności pokoleniom przyszłym. Pamiętajmy o tych znanych i nieznanych bohaterach. Ty ich Ojczyzno masz wypisanych w sercu krwią:

„Jak oni brnący rzeką purpurową,
Z myślą o Tobie w każdej szli godzinie.
Tak Ty, o Polsko, matko ich i wdowo,
o tych mogiłach nie zapomnisz ninie!
Dziś — gdy minęły wreszcie dni żałoby
Ty będziesz w sercu mieć — te wszystkie groby.
(Or-Ot).

Wincenty Kuglin.

Człowiek sądzi — a Bóg rządzi.

Opowiadanie historyczne z końca XVII w.

(Przez Sta).

(Ciąg dalszy).

— Ojcze Maksymie — odezwał się głos cichy, na dźwięk którego starzec się zerwał, przeżegnał i szepnął ze strachem:

— Wszelki duch...

— Boga chwali — podchwycił młody Lipek — i ja go też chwalę, choć nie jestem duchem. Ale jakże to! nie poznajecie mnie Maksymie?

— Głos i twarz Jeryny, ale to ubranie...

— Pożyczone, aby ratować naszą sierotę, niebogę.

— To ty nic nie wiesz jeszcze?

— O czem? Że starościanka w niewoli?

— Nie, że...

— Ach! wiem, słyszałam, wszędzie ludzie opowiadają, że ją Tatarzy uśmiercili. Ale ojcze, to nieprawda! moja gołąbka zdrowa, żyje i da Bóg, będzie jeszcze naszą panią.

Maksym upadł na schody, twarz mu krwią nabiegła ze wzruszenia; Jeryna poskoczyła do niego.

— Uspokójcie się ojcze — mówiła podtrzymując starego — zaraz wam wszystko opowiem, co się przygodziło, a sami ujrzycie, że prawdę mówię, że Bóg czuwa nad sierotą.

— Więc ona żyje! żyje! O Boże, mój Boże, ja nie umiem Ci dziękować, tak jak pragnę, ale Ty widzisz serce moje.

To mówiąc, szlachetny starzec padł na kolana, objął rękoma stojący tuż przy kaplicy krzyż i przytuliwszy siwą głowę do niego, płakał.

Jeryna patrzała tłumiąc łkanie, wyrywające jej się z piersi, a wreszcie szepnęła znowu:

— Uspokójcie się i posłuchajcie mnie, bo trzeba radzić.

Stary powstał, siadł i wlepiwszy oczy w twarz wdowy, spytał:

— Więc mówisz, że ona żyje? nasza najmilsza dziecina i przyszła pani?

— Tak jest, żyje i żyć będzie. Jak nas uprowadzili, to już wiecie; mnie osobno porwali, alem już w pierwszą noc, gdy Tatarzy napadli jakąś osadę, zdołała się wyrwać i uciec. Dobrzy ludzie dali mi oto te szaty, w jakie się Lipkowie oblóczą, bo w niewieścich przyodziewkach wnetby mnie pochwycili poganie. Ledwom odetchła, zaraz pobiegłam na poszukiwanie Tatarów; ludzie mówili, że na drodze ku Bałce ich spotkam z pewnością, bo tam się zwykle zbierają. I poszczęścił mi Bóg, za przyczyną Matki Boskiej Tyńskiej, do której Ksenię ofiarowałam. Dognałam Tatarów i z nimi razem przyszłam do Bałki; w drodze udało mi się obronić młodą żonę jednego Lipka od napaści pijanego Tatara. Lipek był mi wdzięczny okrutnie, nazwał mnie swoim przyjacielem i kazał żądać, czego tylko zechcę, a wszystko uczyni dla mnie. Wtedy pokazałam mu starościankę i wyjawiłam, jako jest narzeczoną bogatego pana, który ją na wagę złota wykupi. Zaklęłam też Lipka, aby strzegł dziewczyny jak oka w głowie i bronił od przygody, a spodziewać się może tyle złota, ile go jeszcze w życiu nie widział.

— A widziałaś się też z panienką, pocieszyłaś niebożątko?

— Udało mi się, ale na krótko, bom się trwożyła, by zaś nas kto nie podpatrzył. Więc powiedziałam serdeńku memu, że biegnę do pana Mirskiego po ratunek, że Lipek będzie jej strzegł i powie nam, gdzie ją zapędzą, bom się z nim umówiła o miejsce spotkania. W Kamieńcu, na Karwasarach, mieszka Lipkowa matka, tam trzeba się nam zgłosić, a on orędzie przyśle, co się ze starościanką stało i gdzie przebywa.

— To ty chcesz aż na Litwę spieszyć?

— Gdyby was tu nie było, poszłabym choć na koniec świata, ale kiedym was ojcze zastała, wy pójdziecie co ducha do pana pułkownika, a ja nawrócę do Kamieńca; zaś stamtąd do naszego pisklątka biednego, bo choć Lipek dobry człek, wszelako już nie to co ja lub wy Maksymie.

— Pójdę, Jeryno, pójdę, gdzie trzeba i nie będę ni siebie ni konia żałował.

— Tak, tak; spieszcie ojcze. I pan Mirski niech też co żywo z okupem przybywa, ale i on musi najpierw do Kamieńca. Tam na Karwasarach niech się dopyta o starą Tarasową, bo matka naszego Lipka od niej już się dowie, gdzie nas szukać, bo ja nie odstąpię ani na krok starościanki.

Maksym siedział czas jakiś w milczeniu, lecz nagle zerwał się i zawołał jakby z przerażeniem:

— O Jeryno, ty mi tak pomięszałaś tą radosną wieścią w głowie, że ja już nie wiem, co prawda a co udanie. Kędyś ty starościankę widziała? Bo, kobieto, tu ją przecież przywieźli nieżywą; twarzy nie było można poznać, bo była pono jakby nadpsuta już, ale przecie wszyscy poznali rzeczy, te same żałobne szaty i zasłonę, które dzień przedtem miała starościanka na sobie, i krzyż i pierścień poznali nietylko słudzy, lecz sama pani.

— A nie pamiętacie Maksymie, com to słyszała w tę noc przed waszym odjazdem? Toż to się wtedy z pewnością Zachar zmawiał ze starościną i pewnie sam ubrał jakiego trupa w rzeczy naszej panienki, które mu może pani Dorota, jak ją Tatarzy dla oka porywali, zabrała i dała. Toć przecie ja sama ubrałam starościankę nie w żałobne suknie, ale w białe przyodziewki i ciemny płaszcz, które mi w rękę wpadły w przestrachu; zasłony też nie miała nijakiej na głowie, jeno kapturek od płaszcza zarzucony na włosy.

— A pierścień, a krzyż? — pytał drżącym głosem Maksym.

— Pierścień tak samo jak suknie został w domu i leżał na widoku w szkatułce, bo go panienka zdejmowała zawsze na noc od czasu, jak jej spadł z palca

i długo zagrzebany był w łóżku, nim go odnalazłam. A zaś krzyż miała i ma go na szyi; ale toć takie same krzyże podarował nasz ś. p. kochany pan starościnie i Handzi, musiał to być krzyż której z nich i pani Dorota sama go dała.

Maksym teraz zupełnie przekonany padł na kolana i długo się modlił ze łkaniem; nareszcie powstawszy, rzekł:

— Bóg ci nagrodzi, Jeryno, wszystko coś dla sieroty uczyniła;idźże do niej, a ja pospieszę do pana Mirskiego, i da Bóg, wybawimy nasze kochanie z niewoli. A teraz ostań tu chwilę, przyniosę ci zasiłek na drogę, bo bez pieniędzy trudnoby ci było radzić.

To powiedziawszy, odwrócił się Maksym, aby pójść na zamek, lecz Jeryna zatrzymała go jeszcze,

— Ojcze Maksymie — rzekła — strzeżcie się zdradzić, że wiecie, jako starościanka żyje, by jej zaś naprawdę nie uśmiercono. Ze wszystkiego co wiemy, nie trudno wymiarkować, że starościna godzi na życie, albo-li na majętność naszej młodej pani i sama Tatarów sprowadziła.

— Dobrze mówisz, Jeryno, ale spuść się na starego; do czasu tajemnica... a potem sąd nad winnymi — odparł starzec i o ile mu siły dozwoliły, spiesznie podążył do zamku.

Po godzinie wrócił z trzosem dobrze wyładowanym i podając go Jerynie, mówił:
tejska zwykła, będzie kształtu walcowatego, tępo zauciułałe msobie z łaski mego ś. p. drogiego pana, niechże te pieniądze posłużą na ratunek jedynego dziecka jego. Sobie zostawiłem tyle, ile mi potrzeba na drogę. A ty, Jeryno, nie żałuj tego grosza, boć to na ratunek tego, co mamy najdroższego. A teraz zostań mi z Bogiem, niech cię Jego święta ręka prowadzi i wspiera.

Tu starzec ze łzami przeżegnał Jerynę, która płacząc obejmowała jego kolana.

Po chwili tych dwoje prostych, a tak szlachetnych ludzi rozeszło się w dwie strony: Jeryna udała się za Zbrucz, na południe ku Kamieńcowi; Maksym zaś wolnym krokiem pociągnął na zamek, a nazajutrz skoro dzień podążył w przeciwnym kierunku, na północ ku Litwie.

III.

Na pogrzeb mniemanej starościanki zjechał pan Błocki, wielce zmartwiony i zasmucony przedwczesną śmiercią córki przyjaciela.

Ponieważ zaś wedle testamentu pana Silnickiego, w razie zgonu Kseni Handzia dziedziczyła cały majątek oprócz dóbr na Ukrainie, przeznaczonych dla Mirskiego, i dóbr wołyńskich zapisanych w razie śmierci młodej dziedziczki klasztorowi, przeto pan Błocki przywiózł ze sobą klucz od skarbca, w którym przechowywano wielkie kosztowności i pieniądze na posag dla starościanki. Do skarbca były dwa klucze; jeden z nich po śmierci starosty przechowywał opiekun, drugi macocha; kluczami owemi trzeba było razem drzwi do skarbca otwierać; miały więc być tak rozdzielone aż do ślubu Kseni, teraz jednak, gdy się opieka skończyła, po nieulegającej wątpliwości śmierci starościanki, obydwa klucze przechodziły w ręce pani Doroty a raczej Handzi, która była spadkobierczynią. Ale pani Silnicka córki nie dopuszczała do niczego; zabrała tedy i klucze i siebie uważała za właścicielkę skarbów i całego majątku.

Wzięła się też szczerze do rządów i przymnażania dochodów, a wśród pracy zapomniała jakoś prędko o udanym smutku; była coraz weselszą i często naradzała się z Zacharem, którego wreszcie znowu gdzieś w świat wyprawiła.

Wszystko szło pani starościnie jak po maśle, gniewał ją tylko smutek Handzi, która ciągle opłakiwała śmierć Kseni.

Panna Boguszanka była to wcale dobra dziewczyna, brakło jej tylko silnej woli i energji, które błędne wychowanie w niej zabiło. Matka, chowając Handzię w niezmiernych pieszczotach, dogadzając we wszystkiem i nie pozwalając się trudzić najmniejszą pracą, a z drugiej strony nie puszczając na krok od siebie i nie dając ani palcem ruszyć bez swej woli, uczyniła pani Dorota z własnej córki istną niewolnicę, istotę bez woli i cienia energji; dziewczynę, którą zawsze ktoś musiał kierować i rządzić, bo sama nie umiała dać sobie rady w najdrobniejszej rzeczy, nie wiedziała co począć, a bała się wszystkiego.

Pewnego dnia, już po odjeździe Maksyma i wyprawieniu Zachara, starościna chodziła po ogrodzie, szukając Handzi i mówiła do siebie:

— Czas już jej powiedzieć nareszcie. Może zrazu trochę popłacze, ale w końcu zgodzi się na wszystko. To jakby nie moja córka; gdzie ją się popchnie, tam stoi; za ojcem się swoim wdała, który też był czyste masło, ale przecież jednak nie takie jak ona. Ale co tam! Może właśnie dobrze, że taka powolna, nie będzie mi się sprzeciwiała. Z Kseni nie miałabym takiej pociechy; sprzeciw się tylko tej, choć to takie młode jeszcze, a zaraz ci stanie okoniem.

Domawiając tych słów, zbliżyła się pani Dorota pod dąb, gdzie na ławie siedziała Handzia, rozmyślając nad ostatnimi wypadkami i popłakując trochę.

— No, ty znowu płaczesz — rzekła starościna siadając obok córki i biorąc jej rękę — a doprawdy nie masz czego. Czy ci tak żal Kseni?

— Jak jej nie mam żałować, toć to moja siostra prawie, a tak ją okropnie zamordowano — jękła Handzia i zalała się łzami na nowo.

— I ucieszyłabyś się bardzo, gdyby żyła? Ale wtedy byłabyś znowu biedną.

— To prawda; ale cóż mi nareszcie te bogactwa dadzą? Żebym to mogła za nie nabyć to, czego najwięcej pragnę — dokończyła Handzia cicho i spuściła oczy.

— I czegóż ty tak bardzo pragniesz? — spytała matka, lecz córka zarumieniona milczała.

— Ja już miarkuję, co tobie w głowie, ale to głupstwo! Ciebie inny los czeka! Oto ci powiem, że za te skarby po Kseni będziesz miała koronę książęcą.

Handzia podniosła na matkę zdumione prawie przerażone oczy, a po chwili spuszczając je, szepnęła:

— Wy żartujecie, matko!

— Wcale nie, ani myślę o żartach. A teraz otrzej oczy i słuchaj; a nadewszystko bądź też przecie wesołą, kiedy twoja matka się cieszy, że dokonała zemsty, której od lat dwudziestu kilku pragnęła.

— Zemsty! matko, nad kim?

— Nad panem starostą!

— Nad waszym mężem?

— Tak, nad nim samym. Nie mogłam się lepiej zemścić, jak odbierając jego ukochanej nad życie jedynaczce majątek, a dając go dwom pokrzywdzonym.

— Pan starosta taki dobry i miłosierny pewnie nie skrzywdził nikogo — ośmieliła się powiedzieć Handzia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kochaj bliźniego twego.

— Ach, panie doktorze, czy Marylki choroba jest rzeczywiście niebezpieczna? Chyba mi Bóg nie zabierze mego jedynego dziecka...

— Niech się pani uspokoi, dziewczynka żyć będzie z pewnością — odpowiedział zagadnięty, lecz słowa jego brzmiały tak jakoś chwiejnie i były wyrzeczone z takim smutkiem, że zamiast pocieszyć, jeszcze więcej zaniepokoiły biedną matkę.

— Pan coś tai przedemną! — rzekła drżącym głosem — ale ja chcę wszystko, całą prawdę wiedzieć, toć mam zupełne prawo do tego.

— Jeśli pani żąda koniecznie, zgadzam się, Marylka żyć będzie — ale pomimo moich usilnych starań, okropna choroba, jaką przebyła, wzrok jej zabierze.

— Co?... Więc będzie niewidomą? O, mój Boże, czemże sobie zasłużyła na taką straszną karę? Czyż zupełnie na to poradzić nie można?

Lekarz zamyślił się i rzekł po chwili:

— Jedynie jakieś gwałtowne wstrząśnienie możeby mogło powrócić wzrok pani córce. W życiu musimy pokornie ulegać woli Boskiej, nie bacząc na to, czy to, co zsyła, jest dla nas dogodne, czy też nie.

— Pani była zawsze pobożną i cnotliwą, więc nie powinna teraz przeciw Bogu szemrać. — Niech pani pójdzie do Marylki i stara się, ażeby dziecko brało z pani dobry przykład i bezowocnemi skargami i jękami nie pogarszało choroby. Niech pani spełni obowiązek matki i osłodzi nieszczęśliwej chwilę, w której dowie się o swojem kalectwie.



Jedyna rozrywka Marylki.

— O, Boże miłosierny! Czy ja będę w stanie to uczynić?... Czyż sama, panie doktorze, nie zasługuję na litość? Biedna jestem, bo co to znaczy ta mała pensja, którą jako wdowa po nauczycielu pobieram? A teraz, gdy przyjdzie jeszcze myśleć o utrzymaniu tego niewidomego dziecka, żadną miarą nie podołam temu nieszczęściu!

— Niech pani pomyśli — rzekł lekarz — o tych matkach, którym dzieci Bóg zabrał, o młynarzu, który teraz już ostatnie i najdroższe pochować musiał i sam jeden na świecie pozostał.

Wdowa spuściła ze wstydem głowę i tylko gorące łzy puściły się jej z oczu.

Po chwili rzekła, podając rękę doktorowi:

— Jest pan dzielnym człowiekiem, panie doktorze! Będę się wszelkiemi siłami starała przetrzymać ten nowy cios.

— Tak, to rozumiem. Proszę, niech się pani postara też jak najusilniej pocieszać dziecko. Jutro przyjdę znowu.

To rzekłszy, chwycił za kapelusz i skłoniwszy się, wyszedł.

Biedna matka gorzko płakać zaczęła, poczem obtarła z łez oczy i z rezygnacją weszła do pokoju, w którym leżała Marylka.

Była to śliczna dziewczynka. Złote loki okalały jej bladą twarzyczkę i spadały na przymknięte powieki, a półotwarte małe usteczka uśmiechały się mile.

Matka zatrzymała się nieruchomo przy drzwiach, lecz mała otworzyła w tej chwili duże, niebieskie oczy i skierowała je ku drzwiom.

— Mamo, czy ty jesteś tutaj?

— Tak, Marylko, jestem! Czyś się wyspała?

— Doskonale! Ale dlaczego, mateczko, nie otworzysz okiennic, tak tu jest ciemno, nie widzę cię zupełnie?...

Matka zbladła i załamawszy ręce, rzekła cicho:

— Leż spokojnie, Marylko, lekarz kazał, ażebyś unikała wszelkich wzruszeń.

— Ale chyba wolno mi jest patrzeć na ciebie, mateczko, a tak tu jest ciemno okropnie!

— Tak już być musi, moja Marylko! Jak będziesz cicho leżała, to wkrótce będzie dobrze.

Po tych słowach pochyliła się nad córką i wziąwszy jej ręce, położyła je na swojej twarzy.

— Teraz jesteś, mamusiu, tak blisko mnie, dlaczegóż więc nie mogę cię widzieć? — żaliła się dziewczynka.

— Marylko kochana, twoje oczy przez tę straszną chorobę dotknięte, długo jeszcze widzieć nie będą mogły — jęknęła nieszczęśliwa matka.

— Jakto, może nigdy? — Więc będę niewidomą? — zawołała z przerażeniem.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, tylko poczuła, że matka objęła ją ramieniem i przycisnęła do piersi.

— Ach, mamo, powiedz, czy naprawdę nie mam już nigdy widzieć ciebie, ani słoneczka, ani kwiatów, nic, nic zupełnie?

— Marylko, córeczko droga! — próbowała pocieszyć ją matka — powinnaś dziękować Bogu, że cię przy życiu zachował, podczas gdy inne dzieci, dotknięte tą samą chorobą, umierają. A cóżbym ja bez ciebie robiła? przecie ty jesteś moim jedynym skarbem na ziemi... Jeśli będziesz spokojnie zachowywała się, to wkrótce wyzdrowiejesz i będziesz znowu mogła w ogródku siedzieć.

Marylka uspokoiła się trochę, ale na jej bladej twarzyczce przebijał się bezgraniczny smutek, więc pomyślała sobie:

— Co mi po ogródku, jeśli nie będę mogła ani kwiatków widzieć, ani z dziećmi się bawić.

Westchnęła głęboko ,ale żadna już skarga nie wyszła z jej ust.

Zima tego roku była wyjątkowo ostra. Całemi tygodniami śnieg padał, pokrywając ziemię grubym, białym całunem.

Gałęzie drzew i krzaków uginały się pod jego ciężarem, zagradzając drogę przechodniom.

Rzeczka, zazwyczaj z szumem płynąca wśród skał i lasów, teraz z trudem musiała kierować sobie drogę pomiędzy bryłami lodu. I wielkie młyńskie koło nie turkotało jak zwykle wesoło, obryzgując się tysiącem brylantowych kropel. Na pobliskim stawie gromadki dzieci ślizgały się lub woziły na maleńkich

saneczkach. Pogoda codzień prawie była piękna, pomimo tego ludzie niechętnie wychodzili z domu. — Kto tylko mógł, sadowił się wygodnie przy ciepłym kominku.

Ale dla wdowy, a więcej jeszcze dla biednej Marylki zima była tego roku bardzo przykrym gościem. W lecie mogła Marylka całemi godzinami przesiadywać w ogródku, bawiąc się z kotkiem, lub słuchając świergotu ptasząt, które jej pięknie śpiewały.

Bóg jednak nie zapomniał o nieszczęśliwej kalece i zesłał jej pocieszyciela w osobie doktora, który teraz dosyć często zaglądał do chaty biednej wdowy, przynosząc pociechę i wsparcie. Za każdym prawie razem brał z sobą Marylkę i oprowadzał ją po wsi. Wkrótce też niewidoma tak obznajmiła się z drogami, że śmiało wszędzie trafić mogła.

Marylka była przez wszystkich lubiana, każdy umiał uszanować jej kalectwo i dopomagał w potrzebie. Nawet najswawolniejsi chłopcy we wsi uspokajali się na widok tej ślicznej, a tak nieszczęśliwej dziewczynki.

Jeden tylko człowiek z całej wsi nie mógł znieść Marylki, jeden tylko nie mógł otworzyć dla niej swego serca, a nawet przychylnem słówkiem obdarzyć. Był to młynarz. Widok dziewczynki budził w nim wspomnienie szczęśliwych chwil, jątrzył niezabliźnioną jeszcze ranę po stracie swych ukochanych dzieci.

— Dlaczego, pytał często sam siebie z rozpaczą, Bóg mi moje najdroższe dziateczki zabrał, a tej małej pozwolił tę samą straszną chorobę przebyć szczęśliwie? Przecież jej matka zaledwie sama ma co w usta włożyć, podczas gdy ja w dostatkach opływam?

I unikał Marylki umyślnie.

Dziewczynka atoli, nie przeczuwając jego obecności, przechodziła koło młyna, a na zapach kwiatów z ogródka mimowolnie ku nim swą główkę kierowała. Wówczas młynarz nieraz krzyczał:

— Idź stąd precz, ty kaleko, czego tu szukasz?

I dziecko zalęknione coprędzej oddalało się od młyna.

Chata wdowy stała tuż pod lasem, więc często w zimie sarny i zające zaglądały do jej sieni.

Marylka zaznajomiła się z nimi szybko; największą i prawie jedyną jej rozrywką było karmienie tych miłych zwierzątek. To też i one polubiły ją wkrótce i dobijały się do jej rąk, a ptaszki siadały na jej ramieniu.

(Dokończenie nastąpi).

W KATORGI.



Powyższy obrazek przedstawia nam jedną z wielu grup tych nieszczęśliwych naszych rodaków, którzy pędzeni pod grozą nahajki szli w straszliwe mrozy, szli w bezludne pustkowia, aż za Ural, gdzie mściwa ręka satrapy rosyjskiego zgotowała tym naszym powstańcom więzienie-grób. Ginęli setkami, tysiącami z głodu, zimna i ciężkiej pracy, a mało któremu udało się zbiec, mało który mógł opowiedzieć swym rodakom swe przeżycia jako „katorżnika".

Jeszcze do niedawna mogliśmy czytać na kartach pogrzebowych tych bohaterów słowa „sybirak". — Jakże drogie dla nas to słowo! Jakże czcić winniśmy pamięć tych naszych bohaterów, którzy tak wielkie ofiary ponieśli, a wolnej Ojczyzny nie doczekali.

Rok 63.

Było źle. Wydzierano nam dusze —
(szarańczy zalało nas morze)
nie dali nam się modlić po kościołach
i Ciebie wyznawać Boże.

Zsyłali na Sybir — do robót,
brzęczały kruty i kajdany — —
kazali nam jęczeć i płakać
i krwawić na nowo rany.

Pogrzebać nam ducha kazali;
w przeszłości zgliszczach, popiołach.
Chciał car być Bogiem w sercach naszych
Bogiem w modlących się kościołach.

Lecz duch na nowo podniósł skrzydła
przeciwko zbrodni i przemocy:
pokazał ślepej Europie,
że żyje duch w styczniowej nocy.

Ozwał się grzechot strzelb i rusznic
po polskich lasach, dzikich borach —
łuny pożarem świat krwawiły
w styczniowych, głodnych, złych wie-
[czorach.

Boso — obdarci — wygłodniali —
brli powstańczycy wśród zamieci!
Niejeden strzelby nie mógł unieść;
wszakże to dzieci — prawie dzieci...

Zwalczył ich głód i niedostatek,
brak amunicji — prostej broni:
niejeden kij lub kołek krzywy
miał w umęczonej młodej dłoni.

Tak się zakończył los Herosów!
padli od kuli, od choroby,
tysiące zjadła szubienica —
nawet nie wiemy, gdzie ich groby.

Ale została po nich siła,
która zbliżała Wolność z dali;
tem my, jak chlebem codzień żyli,
aż my się wreszcie doczekali.

Wincenty Kuglin.



MACIEK BZDURA GADA:

Jak to juz wam w „Roli" gadałem, co wam opowiem dziś o tem, co dalej się stało z tym Onuferem, tak wam tez gadam:

Jak sobie ta cała gromada w karcmie gadała o tem, co świat jest jak ten but dziurawy, co tylko jesce cholewa coś warta i o tem, coby do tego buta dać wirzch nowy, a zaś się zaczęli swarzyć ze zydem kto ma być tym wirzchem, a kto spodem.

Onufer gadał żydowi, co on nie moze być wirzchem, ale jako ze zyd musi być na spodzie, a na wirzchu będą katoliki.

I tak sobie cięgiem gadali, co ten świat trzeba podszyć, bo jest jak ten but dziurawy.

Az przysedł policyjan i ze to juz była siła godzin, powyrzucał wszyćkich za kołnirz z karcmy.

Sedł se Onufer do chałpy, a ze mu gorzałka rozpalała pałę, tak se zaganiał na lewo i prawo i potykał się o płoty, ze mu ta droga się przydłuzała.

Az naraz potknął się Onufer na cemsik. Patrzy, ale nie moze dojźryć. Myślał, ze to chłop jaki lezy jesce bardzi pijany jak on. Ale Onufer nie mógł się na nogach utrzymać a chciał wiedzieć, co to za kamrat jego na ziemi łezy, tak sobie legł przy tym nieboscyku i pozirał na niego. Az się przekonał, co to lezy jakasi wyładowana torba na ziemi.

Nie wiele myślęcy, zabrał znalezioną torbę i chociaz mu ciężko było dźwigać, posedł do chałpy. Jak się Onufer przyswędał do chałpy, tak zacął majstrować koło torby, bo go paliła ciekawość, co w torbie jest. A jak ją otworzył, tak zacął z niej wyjmować różne rzecy. Było tam mydło do mydlenia oców dla baby, co kocha swojego chłopa, były karty cygańskie dla szczęśliwego graca, były szczypcyki do ściągania siódmej skóry dla niesumiennego bogaca, była tez flasecka z pianą wściekłego psa dla nieuczciwego konkurenta i jesce wiele inksych podarunków.
kurenta i jesce wiele inksych podarunków, które Onufer z torby wyjmował.

Onuferowi te rzecy na nic nie były przydatne, bo nie był babą, aby chłopu ocy mydlić, ani tez nie miał ochoty zdzirać skóry scypcykami z dłużników, bo tez i bidackiem był i piniędzy ni miał.

Pomyślał se, zeby tez i źle było, jakby te rzecy dostały się: mydło do baby, co to niby okrutnie chłopa kocha, a scypcyki jakiemu bogacowi. Rozeźlił się tez na tego, co tę torbę zgubił i rzekł se, co torby nie odda.

Onuferek chodził se dalej po karcmach, a miał tez jakąsi Jagatę, co go tez dobrze skubała i nagliła do zeniacki. Onufer spychał z zeniacką od jesieni do wiosny, od wiosny znów do jesieni. Tak se chodził po różnych karcmach, a piniędzy mu cięgiem brakowało.

Raz zabrał się do roboty az we wtorek, (bo to sewcy nie lubią w poniedziałki pracować), a nie miał do roboty skóry, tak se spomniał o tej torbie. Złapał nóz i chciał pokrajać na kawałecki. I jak torbę rusył, coś w niej zabrzęcało. Pozira, a tu ujźrał siedem talarów. Uciesył się, co będzie miał z cem znów po karcmach chodzić. I jak skońcyły się jedne talary, tak przysedł do torby i znów zabrał drugie talary. — A ze te talary obracał zawse na pijaństwo, Jagatę i inksą biesową sprawę, tak tez bies mu pomagał i talary mu do torby wkładał, a Onuferowi juz mało było Jagaty, to se i inkse Jagaty wynalazł. Aż się raz zdarzyło, że se Onufer sedł z libacyje i słysy lamentacje w jakisik chałpie. Wsedł do chałpy i pyta się gdowy, co się jej stało?

— A dyć dochtór zapisał dziecku likarstwo, a nie mam za co kupić likarstwa u japtekarza, a dziecko mi umira.

Onufry rzekł do gdowy, co jej da na likarstwo i pójdzie i przyniesie od japtekarza, bo gdowa dziecka odejść nie mogła. Sięgnął do kieseni, ale że sedł z hulacki od Jagatów, tak juz ani grosa nie miał.

Rzekł gdowie, coby mu dała papirek od dochtora, to juz od japtekarza likarstwo przyniesie.

Gdowa dała mu przepis na likarstwo, a Onufry cemduchu pobiegł do chałpy do torby po talary. Ale ze to juz sło o sprawę dobrą, którą janieli zapisują w niebie, tak bies juz nie włozył do torby talarów. Onufry zafrasowany trzepał torbą na wszyćkie strony, ale juz piniądze z niej nie wyleciały. Zafrasowany dyrckiem poleciał do zyda i pożycył se styry złote i przyniósł gdowie likarstwo od japtekarza.

Onufer poznał się teraz na biesu i w chałpie se rozmyślał wszyćko, ze jak słuzył biesowi, to mu tez bies pomagał i piniądze dawał. Wziął tez i pociął torbę i zrobił styry pary butów. Rzucił tez i Jagaty, bo se myślał, ze one tez jakieś biesowe kumoski były.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

III. Złote Wybrzeże.

Na Złotem Wybrzeżu duch braterstwa nietylko w teorji, ale i w praktyce do nader wysokiego rozwinięty jest stopnia. Każdy murzyn n. p. z plemienia



Cmentarz w Elminie na Złotem Wybrzeżu.

Fanti nadaje nazwę matki nietylko tej, która mu życie dała, ale również wszystkim ciotkom, babkom i starszym kuzynkom, wujów zaś i stryjów nazywa ojcami. Zdziwi się przybyły Europejczyk, gdy słyszy jak starszemu murzynowi cała wielka gromada młodych mówi ojcze, myśląc, że dany murzyn ma kilkadziesiąt dzieci. Później dopiero dowiaduje się, że między temi dziećmi jego są i niewolnicy, siostrzeńcy i dzieci z dalszej familji.

Nawet pomiędzy dziećmi zupełnie sobie obcemi, istnieje niezwykła solidarność, nieznana nawet w Europie. Jeżeli jedno z nich n. p. kupi za drobną kwotę trzciny cukrowej lub owoców, to podzieli się niemi natychmiast ze wszystkiemi obecnymi tam towarzyszami. Niema też na Złotem Wybrzeżu ani przytulisk, ani ochronek, uważanych za rzecz zupełnie zbyteczną, gdyż każda rodzina otacza opieką wszystkich swych chorych lub ubogich członków.

Dzięki tak ścisłej spójni rodzinnej, związki małżeńskie daleko mniej niż w innych afrykańskich krajach pozostawiają do życzenia. Wielożeństwo wprawdzie istnieje, ale tylko wśród zamożnych warstw pogańskiej ludności, rozwody zaś rzadko się zdarzają. W razie rozłączenia się małżonków, dzieci pozostają pod opieką matki, która zwykle więcej kocha je niż ojciec.

Charakterystyczną cechą u mieszkańców Złotego Wybrzeża jest to, że zwykli oni nadawać swym dzieciom nazwę tego dnia, w którem się urodziło. Każdy zaś dzień w tygodniu poświęcony jest pewnemu opiekuńczemu duchowi, któremu nazwę swą zawdzięcza. Tymi siedmiu duchami są: Eisi, Adżo, Bena, Wiku, Jaw, Efii, Emen, stosownie zaś do tego niedziela zowie się tam Kweisida, poniedziałek Adżoda, wtorek Ebenada, środa Wikuda, czwartek Fjawda, piątek Efida, sobota zaś Memenda.

Murzyni Złotego Wybrzeża wierzą tylko w jednego Boga, którego zowią Nyankopu albo Nyame. — Druga ta nazwa oznacza też sklepienie niebieskie, będące siedliskiem Najwyższej Istoty. Krajowcy zowią też Boga Otumfoo, to jest wszechmocnym. Sama ta nazwa wskazuje, że chociaż murzyni przypisują podrzędnym duchom lub fetyszom pewien wpływ na wszystko, co się dzieje na ziemi, wierzą jednak niezachwianie w istnienie Najwyższej Istoty, której władzy podlegają nietylko ludzie, ale i fetysze wraz z całem stworzeniem. Wierzą też w to, że od Boga zależy życie lub śmierć, zdrowie lub choroba człowieka.

Z drugiej strony krajowcy wierzą w egzystencję szatana, czyli złego ducha, zwanego Abosam, który wraz z duszami wszystkich złych ludzi mieszka w piekle, czyli mieście szatana.

Zdawaćby się mogło, że lud, który ma tak piękne o Bogu pojęcie, do Niego właśnie powinien się modlić, Jemu składać hołdy i ofiary. Niestety dotąd jeszcze wszystkie ofiary i modlitwy pogan ze Złotego Wybrzeża odnoszą się wyłącznie do fetyszów.

Nie brak na Złotem Wybrzeżu i czarowników, którzy swemi oszukańczemi sztuczkami usiłują wpoić wiarę u murzynów w nadprzyrodzoną swą siłę.

Po urodzeniu się dziecięcia odbywa się uroczystość, na której dziecko otrzymuje obrączkę, którą ma nosić przez całe życie.

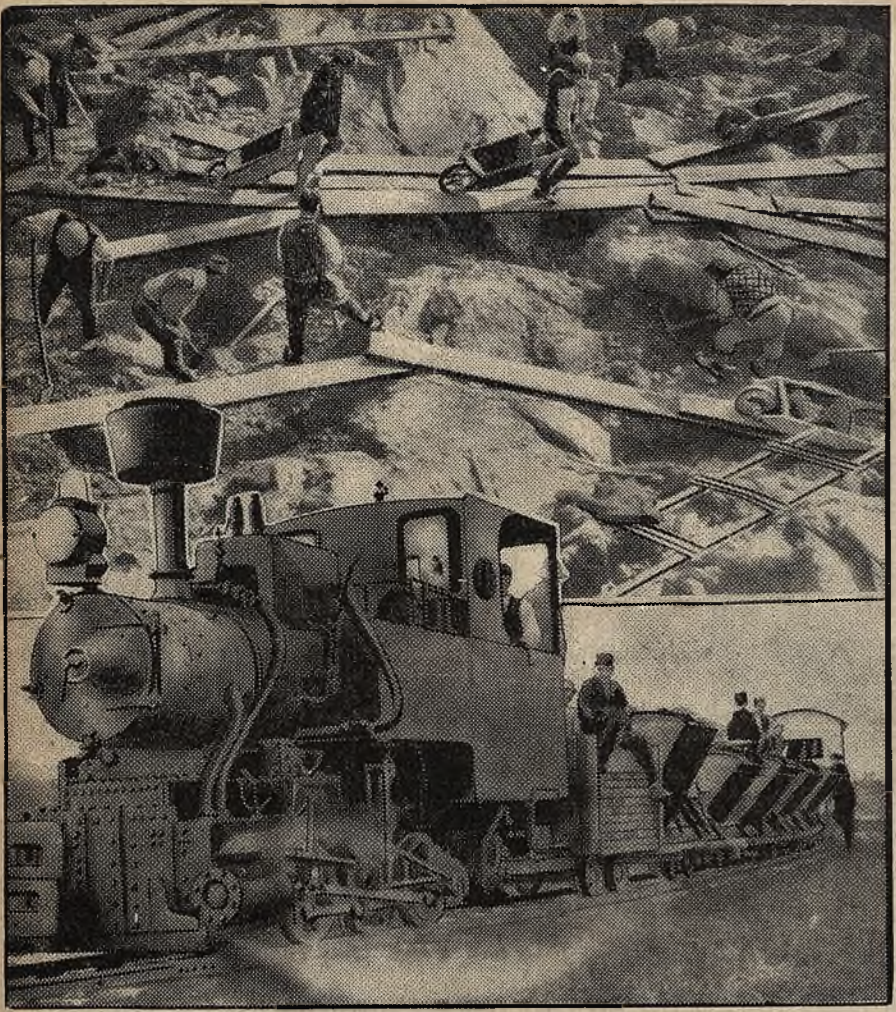
Podczas zaręczyn przyszły małżonek podaje wodzom wino i przedstawia im swoją narzeczoną. Jeżeli murzyn pozwoli swej żonie opuścić gniazdo i wyjść za innego, wówczas ta ostatnia smaruje sobie twarz kredą, na znak, że już jest wolną. Po śmierci męża żona ubiera się czarno, podobnie jak w Europie.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy cmentarz murzyński na Złotem Wybrzeżu w mieście Elminie, zaś na drugim obrazku widzimy drzewo zwane mbulu, dające włókna, z których murzyni wyrabiają sobie płótna.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Drzewo zwane mbulu, które daje włókna



Jugosławja wykorzystuje siłę wodną.

U nas w Polsce wykorzystywanie siły wodnej jest w bardzo małym stopniu. Główną przyczyną jest brak do tego odpowiednich kapitałów, przy pomocy których plany inżynierów mogłyby być zrealizowane. Już przed 25 laty mówiono o wykorzystaniu siły wodnej Dunajca i miano w tym celu wybudować w Jazowsku wielką elektrownię kosztem 17 miljonów koron austrjackich. Elektrownia ta miała zaopatrywać w prąd całą Małopolskę zachodnią. Do dnia dzisiejszego nie zrobiono w tej sprawie nic i projekty zostały tylko projektami na papierze. W innych krajach na siłę wodną większą zwracają uwagę. W Jugosławji np. w pobliżu dawnej stolicy Serbji, Kragujevac buduje się olbrzymią tamę. Równocześnie także w innych okolicach przeprowadza się odpowiednie prace, celem regulacji sił wodnych i wykorzystania ich w celach elektryfikacyjnych. Włożone zatem wkłady do przedsiębiorstwa wkrótce się wrócą, zważywszy, że siła wodna nieraz bardzo wielka, jest też bardzo zyskowna. Wielką tę siłę mają przedewszystkiem nasze rzeki górskie.

Zimowy połów ryb.

Na firmamencie skrzą się gwiazdy. Mroźny powiew dochodzi od morza; nieskończoność wód robi tem większe wrażenie, iż nie jest, jak zazwyczaj, niebiesko-zielona, ale czarna. Na pobliskim zegarze wybija dopiero godzina 3 w nocy... W porcie zarysowują się ciemne sylwetki ludzi i barek.

Za chwilę wyruszymy na całodzienny połów.

Właściciel barki wita mnie gościnnie i wprowadza na pokład.

Rybacy uwijają się, czyniąc ostatnie przygotowania. Ubrani są w podwójne swetry i czapki z przekręconym daszkiem; potem zaś przywdziewają ceratowe ubranie, chroniące ich od wody. Pomiędzy rybakami znajdują się aż 3 pokolenia: stary, bezzębny ale krzepki dziadek, liczący 72 lat, a będący rybakiem od 8 roku życia, syn jego, w pełni sił męskich i wnuk, rozpoczynający swój morski zawód, podobnie jak dziadek, od 10 roku życia.

Ruszamy i posuwamy się szybko. Niemal wszystkie bowiem barki rybackie zaopatrzone są obecnie w motory. Nie mniej jednak na pełnem morzu rozwijają żagle. Na pokładzie robota wre. Oddają mi nawet na chwilę ster, aby mieć dwie ręce więcej do pracy. Śledzę ich zręczne ruchy, giętkie poruszenia i dyscyplinę pracy, dokonywanej niemal w milczeniu.

Na lewo i prawo widzę 25 koszy, zawierających po kilkadziesiąt metrów niezmiernie silnego sznura.

Do sznura tego, co jakieś 5 m. przyczepiony jest inny sznur, 9-metrowy, zakończony wędką. Trzeba zaopatrzyć je w przynętę, a więc w danym wypadku w połowę śledzia. Po pewnym czasie z powyższych koszy wydostają się niezliczone głowy i ogony śledzi: robota narazie skończona. Skoro jednak odpłyniemy o jakie 15 kilometrów od brzegu, wędki spuszcza się w morze. Ponieważ zaś sznur główny, do którego są przymocowane, posiada aż 1.100 metrów długości, przeto linja naszego połowu rozciąga się na tej przestrzeni.

W międzyczasie rozpierzchła się już mgła poranna. Następuje krótki odpoczynek. Wydobywamy z koszyków prowianty, popijając je sokiem jabłecznym.

Niektórzy z rybaków palą papierosy, inni ćmią fajki, inni wreszcie zażywają poprostu tabakę.

Rozmyślania przerywa energiczna komenda kapitana:

— Uwaga!

Na ten głos każdy z rybaków staje na swoim posterunku. Jeden chwyta za ster, inny, starszy rybak ustawia obok siebie kosze, a pięciu pozostałych z właścicielem na czele stają na lewym pokładzie barki. Na powierzchni morza widać korkową chorągiew, oznaczającą początek naszej liny, którą winduje się teraz łódź zapomocą kluby. Za każdym zaś razem, gdy na wędce znajduje się ryba, pierwszy woła: — Jepasse — podaję! Wówczas piąty z rzędu rybak — energicznym ruchem wydobywa z ust ryby wędkę; nieraz walka z nią jest trudna, zwłaszcza, gdy chodzi o t. zw. „psy morskie“, duże i niezmiernie muskularne okazy. Obok szczelina, wyłożona w głębi piaskiem i kamykami, do niej to właśnie rzuca się zdo-

bycz, która w ten sposób zostanie przetransportowana aż do portu.

Pragnienie zniewala starego do wypicia kilku łyków jabłecznika. W chwili, gdy podaję mu butelkę, czuję jakiś niesamowity szelest dokoła nóg. Patrzę i robi mi się bardzo nieswojo; potężna kałamarnica dotyka już mego buta; lada moment uścisk jej pijawek może się stać bardzo niemiły. Kapitan rzuca butelkę i w mgnieniu oka zapuszcza palce w ustnym otworze kałamarnicy; jest ona rozbrojona, a wnętrzności jej rzuca się do morza. Ze wstrętem patrzę na to giętkie cielsko. Kapitan śmieje się i mówi:

— Musiał jednak pan już niejednokrotnie jeść kałamarnicę w konserwach... z homara! Mięso jej jest bowiem tak smaczne, że często zastępują niem homary. Na naszych zresztą wybrzeżach kałamarnice sprawiają istne spustoszenia, żywiąc się właśnie langustami, homarami i krabami, których skorupę łamią niezliczonemi swemi mackami.

Ale oto raz po raz na pokład spada nowa ryba. Są to albo „psy morskie“, albo t. zw. „roussotes“, lub wreszcie płaskie i białe „raies“; mają one niezmiernie ciekawe usta, nieraz zupełnie czerwone, — jak szminkowane wargi kobiet. Ryby te, przyprawione z cebulką i przysmażonem masłem, są niezmiernie smaczne. Mamy ich już przeszło 80. Połów jest na ukończeniu. Zwinięte liny znajdują się w koszu. — Wydęte żagle zbliżają nas do brzegu.

Barce naszej towarzyszą też tłuste, krzyczące mewy, łapiące w powietrzu rzucane im przez rybaków kawałki ryb.

Dobijamy wreszcie do portu. Zaraz po wylądowaniu cały nasz połów zostaje wydobyty z barki i rozłożony, gdzie odbywa się przedpiątkowy targ. Otaczają nas kupcy, prywatni amatorzy oraz gromada dzieci, a także żony i matki rybaków. Sprzedaż odbywa się szybko: całość bowiem połowu zostaje zakupiona za cenę 875 fr., tj. około 300 złotych.

J. MOKRZYCKI.

W puszczy amerykańskiej.

(Powieść).

Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

V.

Na obszernej równinie, w niezbyt wielkiej odległości od ujścia Ohio do Missisipi, na niewielkiej wyniosłości tuż nad rzeką, wśród zrzadka rosnących niebotycznych dębów, jakby z pod ziemi wyrosła, — ukazała się mała forteczka.

Nie była to jeszcze forteczka dobrze umocniona, stanowiła ona bowiem zaledwie dość obszerny majdan ogrodzony wysoką palisadą, poza którą od wewnątrz wznosił się usypany z ziemi wał, a dostęp do niej tworzyła jedna jedyna brama z grubych dębowych belek zbita i umocniona nabijanemi ćwiekami. Natomiast forteczka ta nie miała żadnych budowli trwałych, lecz tylko pod rozłożystemi gałęziami dębów, rozpięte znajdowały się namioty, obok których stały ponakrywane białem żaglowem płótnem wozy.

Po przygotowaniach jednak, poznać łatwo się dało, że mieszkańcy forteczki przybyli tu nie na chwilowy pobyt, lecz mieli się osiedlić na stałe. Przygotowywano i zwożono długie drzewo budulcowe, ciosano je, zwożono kamień na założenie fundamentów pod mające się wznieść budowle.

Jakkolwiek załoga powstającej osady niezbyt liczną była, praca jednakże wrzała niemal gorączkowo, ochoczo i posuwała się raźno naprzód. W niespełna tydzień po przybyciu karawany na miejsce osiedlenia, praca nad ufortyfikowaniem była ukończona, w przeciągu drugiego tygodnia zrąbano, zwieziono i ociosano materjał budowlany, którego ogromna kupa bielała od strony zachodniej obok wału.

Wszystko było przygotowanem do budowy i następnego dnia miano przystąpić do założenia podwalin pod budynek mieszkalny. Było już ku wieczorowi, złociste słońce kryło się poza wierzchołkami drzew bezkresnej puszczy. Miły chłód krzepił ciała strudzone całodzienną pracą na skwarze słonecznym. Wolski, obtarłszy pot z czoła, usiadł na belkach, spoglądając z zadowoleniem na ogrom dokonanej pracy.

Były oficer gwardji, nie przyzwyczajony do pracy fizycznej, obrobił sobie ręce do krwi, lecz ani na chwilkę się nie lenił, pracował na równi z murzynami oraz wynajętymi młodzieńcami, którzy tu z nim przybyli, nie odgrywając roli pana.

Gdy w okropnym skwarze dogrzewającego południem słońca czuł znużenie i siły go opuszczały, — wspominał na swoją ukochaną Mirę, a siły wracały mu na nowo i wówczas pracował za dwóch. Wszak od tego zależała jego przyszłość, jego szczęście. Im prędzej potrafi się osiedlić, pobudować, im prędzej założy i rozwinie gospodarstwo, tem prędzej zobaczy swoje marzenie i będzie mógł zażądać jej ręki.

Znał on bowiem Złotopolskiego dobrze i wiedział, że gdyby się o Mirę oświadczył, otrzymałby natychmiast pytanie: „A cóż za życie możesz jej ofiarować młodzieńcze?“ Tego pytania obawiał się dumny kapitan. Wiedział, że stary uległby woli Miry, lecz dumna polska szlachecka natura nie dozwoliła mu na to, dopóki przyszłej żonie nie będzie mógł zapewnić życia jakiego jej stan wymagał. Będąc ubogim, mógł jedynie nadzwyczajną imprezą dojść do swego celu, a ta impreza wymagała odwagi i energji — no i oczywiście ciężkiej mozolnej pracy. Niejeden już młodzieniec taką imprezę przypłacił swojem młodem życiem, Wolskiemu jednakże jakieś szczególne sprzyjało szczęście. Bo spotkanie na drodze i pozyskanie względów starego Georga, nie można było niczem innem, aniżeli szczęściem nazwać. Nikt bowiem naówczas nie znał tak dokładnie puszczy po prawym brzegu Ohio do Missisipi i na północ aż do Wielkich Jezior, aniżeli Georg, który parę razy te ogromne przestrzenie za zwierzem przemierzył. Znał on wszystkie niebezpieczeństwa puszczy, znał jej kryjówki i tajemnice lepiej aniżeli właściwi jej mieszkańcy plemienia Osagów i Yandotów. Wiedział on też, gdzie znajduje się najlepsze miejsce na osadnictwo, wiedział, gdzie praca nad karczowaniem będzie łatwiejszą i pomimo, że w te miejscowości nikt dotychczas zapuścić się nie ważył, poprowadził tam karawanę. Pozatem sprzyjało mu szczęście i pod tym względem, że Indjanie zajęci wojną między plemienną, nie mogli mu przeszkodzić w osiedleniu, a utwierdziwszy się raz w tej ziemi, nie pozwoli sobie jej łatwo wydrzeć — zresztą miał zamiar tak życie uregulować, aby z wrogów, którymi byli bezsprzecznie dla białych Indjanie, uczynić sobie przyjaciół.

I tu również szczególne jakieś szczęście mu dopisało... Dziwnym trafem uratował od męczeńskiej śmierci syna wodza plemienia Yandotów, co mogło stać się pierwszym krokiem do nawiązania przyjaznych stosunków.

Jako przyszłą kolonję wybrał sobie i wytyczył

szeroką przestrzeń żyznej ziemi, zaledwie tylko nielicznemi kępkami drzew porosłą, bardzo łatwą do uprawy. Z załatwieniem formalności urzędowych w związku z kupnem ziemi, wyręczył go Georg, który wnet po przybyciu udał się w tym celu do bardzo odległej osady Cleveland, gdzie podówczas znajdowały się urzędy Stanu. Wolski, który był bardzo tem zadowolony, że mógł zostać i swobodnie zająć się pracą, teraz poczynał się naprawdę niepokoić, gdyż jego zdaniem myśliwy powinien już był być z powrotem. Nie obawiał się Wolski o sprzeniewierzenie kwoty pieniężnej stanowiącej cenę kupna gruntów, którą z zaufaniem wręczył Georgowi, gdyż co do bezwzględnej uczciwości starego nie miał najmniejszej wątpliwości, obawiał się jednak, by stary przyjaciel nie uległ jakiemu przykremu wypadkowi, o który w Ameryce nie było trudno.

Gdy tak siedział i rozmyślał, co mogło być powodem tak spóźnionego powrotu myśliwego — płachta zakrywająca wejście do namiotu uchyliła się i w otworze ukazała się wysoka postać indyjskiego wojownika.

Talor, gdyż on to był, przychodził już do zdrowia. Nie mógł jeszcze, wprawdzie dobrze chodzić, chwiał się nieco na nogach, lecz rany goiły się dobrze i silna natura zwyciężyła słabość.

Sam młodzieniec pomimo swej czerwonej skóry piękny był i urodny. Wzrostu smukłego, pięknej budowy ciała, twarzy o rysach dosyć regularnych, z której przeświecało dwoje wyrazistych oczu, a nad przepysznem czołem wiła się ślicznemi lokami kruczoczarna, gęsta, wspaniała czupryna. Wyszedłszy przed namiot, zobaczył siedzącego w zamyśleniu Wolskiego, podszedł do niego, kulejąc jeszcze trochę i zapytał:

— Czemu to mój biały brat smutny?

— Nie jestem smutny Talorze — odrzekł — lecz zmęczyłem się i odpoczywam: Jakże się czujesz mój bracie? — zapytał przyjaźnie.

— Talor wnet pójdzie do ojca i braci — odrzekł Indjanin — lecz Talor nie zapomni o dobrym białym bracie, który mu uratował życie. O! Talor nigdy tego nie zapomni! Do końca życia chciałby być przyjacielem mojego białego brata.

— Ja również — rzekł Wolski — chciałbym być przyjacielem Talora i jego narodu — nie chciałbym, aby pomiędzy nami lała się krew.

— Mój biały brat jest zupełnie odmienny od innych bladych twarzy. Blade twarze mają kamienne serca.

— Tak jest — odrzekł Wolski. — Ja jestem rzeczywiście innym człowiekiem, chociaż mówię ich mową. Nie należę do tego narodu. Mój naród mieszka daleko za wielkiem słonem jeziorem. Jest to kraj bardzo nieszczęśliwy, gdyż zawojowali go chciwi sąsiedzi trzymają w niewoli. Jestem Polakiem, a nie Anglikiem.

Tu opowiedział Indjaninowi pokrótce całą historję Polski, kładąc szczególny nacisk na jasne dni bohaterstwa i triumfu, jak również na tragedję zakończoną rozbiorami.

Indjanin słuchał pilnie, niekiedy wydawał okrzyki pełne podziwu, wreszcie gdy Wolski skończył, zawołał:

— I może to być, aby taki waleczny naród był w niewoli?

— O nigdy! Pomści on się jeszcze za swe krzywdy.

Rozmowę przerwał odległy, lecz donośny strzał. Wolski zerwał się na nogi i spojrzał w stronę, skąd strzał pochodził.

— Co to może być? — rzekł nieco zaniepokojony.

— To strzał z długiej ruszniey Georga — odrzekł zupełnie spokojnie Talor. — O Talor zna dokładnie potężny głos długiej ruszniey i nie pomyli się nigdy.

Rzeczywiście dało się wnet sprawdzić, gdyż w dali dało się słyszeć ujadanie psa i za chwilę od strony puszczy ukazał się olbrzymich rozmiarów jeleń, biegnąc w szalonym pędzie w górę rzeki, zbliżając się w stronę forteczki.

Wolski skoczył jak żbik i porwał stojącą obok dębu swoją strzelbę, wybiegł na wał, i gdy jeleń znalazł się na wysokości forteczki, przyłożył strzelbę do oka i pociągnął za cyngiel. Huknął strzał — i jeleń pomimo znacznej odległości, w jakiej się znajdował, jak piorunem rażony runął na ziemię.

Wówczas Wolski zawołał na murzynów, którzy konie wyprowadzali na paszę i polecił im przynieść zabitego zwierza. Nim jeszcze dobiegli — już przy jeleniu znajdował się wyżeł Georga, który nadbiegł za tropem z wywieszonym językiem. Lecz dwu silnych murzynów nie potrafiło przywlec olbrzymiego zwierza, aż musieli z wozem po niego podjechać.

Po przywiezieniu go na majdan, stwierdził Wolski, że jego kula przeszła zwierzęciu przez piersi w okolicy serca, sprowadzając natychmiastową śmierć. Jednakowoż jeleń miał postrzał w karku, pochodzący widocznie z ręki Georga.

Talor obejrzawszy ranę nie mógł wyjść z podziwu, że stary myśliwy mógł chybić, gdyż było to rzeczywiście niesłychane.

Gdy tak oglądano wspaniałe zwierzę, leżące teraz we krwi nieruchomo, stary myśliwy wyłonił się z puszczy i powolnym krokiem zbliżał się ku forteczce.

Zobaczywszy go Wolski, wybiegł naprzeciwko, wołając:

— Witajże, witaj! stary przyjacielu. Już się martwiłem o ciebie, myśląc, że cię gdzie Osagowie na szynkę uwędzili.

— Jeśli tak myślałeś kapitanie, toś się nie bardzo pomylił, gdyż naprawdę nie dużo do tego brakowało, abym był utracił skalp, bez którego obejść się jeszcze nie mogę.

— Naprawdę? — zawołał Wolski. — Jakże się to stało i jakżeś się z opresji wyratował?

— Jeszcze z tamtej strony przeprawy — odrzekł, nagle napadło na mnie trzech Osagów. Jednego powaliłem strzałem z mojej rusznicy, drugiemu rozwaliłem kolbą łeb, lecz trzeci wpakował mi kulę w ramię, poczem rzucił się na mnie z oszczepem. Byłby już na mnie przyszedł kres, gdyby nie mój Karo. Ten, gdy już Indjanin godził we mnie oszczepem, rzucił się na niego z tyłu i chwycił go za łydki widocznie tak dotkliwie, że Osag zwinął się z bólu jak węgorz, gdy ja tymczasem wydarłem mu z rąk oszczep i utopiłem w sercu.

— Biedny Georgu! ach! to tem się tłumaczy twój chybiony strzał do jelenia! Czy aby rana bardzo ci nie dolega?

— Ech głupstwo — odrzekł, — tylko na jakiś czas nie będę mógł swobodnie poruszyć ręką. Ja to czułem, że jeleń został hybiony, gdyż z jednej ręki było mi niewygodnie.

— Trafiony był w kark — odrzekł Wolski — lecz lekko

Tak rozmawiając, zbliżyli się do bramy i weszli na majdan, gdzie zmęczony Georg zrzuciwszy torbę i odłożywszy strzelbę, rzucił się na murawie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Krajowe zioła lecznicze i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych



Rozmaryn ogrodowy. R. lekarski *(Rosmarinus off.)*, hodowany u nas w ogrodach i doniczkach. Liście ma drobne, lancetowate, kwiaty błękitnawe, w kątach liści rozmieszczone, — smak ma gorzki, zapach kamforowy.

Wewnętrznie używa się herbaty z liści w wadach serca, katarach oskrzelowych, osłabieniu żołądka, wzdęciach, porażeniach, osłabieniu pamięci, zawrotach głowy, zatrzymaniu regularności. Zaparza się szczyptę pokrajanych listków kwaterką wody i pije po troszku.

Zewnętrznie używa się spirytusu rozmarynowego, lub olejku do smarowania. Z utłuczonych drobno liści robią materacyki na obrzęki i darcia reumatyczne.

Dr med. *Stanisław Breyer*. Kraków, Piłsudskiego 36.

Poradnik gospodarczy.

II. Coś niecoś o nasionach.

Z kolei zastanowić się nam trzeba, czy nie byłoby możliwem ograniczenie zakupu nasion, tak stosunkowo drogich i hodowanie ich u siebie? Nie przedstawia to zbyt wielkich trudności w warzywnictwie. Wystarczy odpowiednio przechować wysadki marchwi, pietruszki, kapusty, sałaty i t. p., by na przyszłą wiosnę wsadzić je na grzędę do wydania nasion. Przechowanie warzyw korzeniowych będzie podobne do przechowywania ich na użytek. Naturalnie, wybieramy do tego celu okazy typowe, cechujące swym kształtem dane odmiany; a więc marchew Nantejska zwykła, będzie kształtu walcowatego, tępo zakończona, Nantejska ulepszona, będzie również walcowata, lecz kształtniejsza od poprzedniej, tępo zakończona, krakowska odznaczać się będzie palową formą zwężającą się ku końcu. Pietruszka cukrowa długa — jako egzemplarz nasienny — powinna być piękna, kształtna i długa, buraki nasienne odmiany egipskiej, winny być ciemno-czerwone, spłaszczone i tylko takie wysadzać jako nasienniki. Zazwyczaj zostawia się po kilka sztuk 3—4 z każdego warzywa na nasienie, chociaż nie potrzeba nam ich tak dużo. Jeden burak wydaje już kilka do kilkanaście dkg. nasienia, więc tyle nawet wystarczyłoby niejednemu gospodarzowi. Jednak nie ograniczamy się do jednej sztuki, gdyż może nam zmarnieć, nie udać się hodowla i dlatego sadzimy kilka sztuk, z czego wybieramy okaz najsilniejszy i z niego zbieramy nasienie, bądź z każdego okazu zbieramy co wyborowsze i wcześniejsze nasienie, a resztę niszczymy. W każdym razie hodowla sama nie przedstawia wielkiego kłopotu, gdyż kilka sztuk marchwi nasiennej, buraków, pietruszki, kapusty i t. p. wszędzie się zmieści, a co najważniejsze, nawet na lichej ziemi, gdyż roślina nasienna czerpie swe pokarmy z bulwy, korzenia i t. p., w którą poprzedniego roku zgromadziła cały zapas. Należy tylko pamiętać o niedopuszczeniu do skrzyżowania się odmian warzyw, co ma miejsce, gdy wysadzamy 2—3 odmiany jednego gatunku. (Np. kilka odmian marchwi, kapusty, kalarepy i t. d.). Jest na to rada; albo ograniczyć się do jednej odmiany w nasieniu, co jest więcej pewne i wskazane, albo każdą odmianę tego gatunku sadzić w oddaleniu od siebie, aby nie dopuścić do zapylenia się odmian i skrzyżowania. Jest to jednak możliwe przy większych obszarach ziemi i nastręcza więcej uwagi hodowcy.

Najważniejszym w tym względzie byłoby samo przetrzymanie nasienników przez zimę. A więc, warzywom korzeniowym, jak: marchwi, burakowi, pietruszce, należy umiejętnie przyciąć nać. Trzeba bowiem zostawić ją przy korzeniu 1—½ cm. długości, aby po wsadzeniu wiosennem, miały z czego wybić w pęd. Wiadomo przecie, że pęd wyrasta właśnie tam, u nasady korzenia z t. zw. piętki, a gdy taką się zetnie wraz z kawałkiem jej, już nie będzie miała z czego wybić ponownie na przyszłą wiosnę. Zresztą przechowanie warzyw korzeniowych nie przedstawia większych trudności.

Kapusty nasienne należy wyjąć z gruntu z korzeniami i poddać je pewnego rodzaju zasuszeniu przez ułożenie w piwnicy, bądź przez zadołowanie jej tamże w piasku, lub ziemi. Ten drugi sposób, przez zadołowanie, czyli zasypanie korzeni, jest pewniejszy i ten polecam szczególnie. Nie należy się zrażać, gdy zimą liście będą stopniowo odpadać, gnić i czernieć. Należy je odbierać, aby utrudnić to gnicie; zresztą na nasienie powinniśmy wybrać najpiękniejszą głowę kapusty tak, że te straty liści, nie osłabią zbytnio kapusty. I tutaj należy liczyć się z kształtem danej odmiany i tylko takie przeznaczać na nasienniki, które je cechują.

Omówiliśmy z gruba hodowlę nasienników trudniejszych, jednak jak widać z powyższego, hodowla warzyw (nawet dwuletnich) nie przedstawia się tak strasznie. Jednakowoż nie postarać się o własne nasienie z warzyw rocznych, jak: ogórki, dynia, fasole, grochy, groszki, bób, kukurudza, i t. d. i t. d. byłoby do pewnego stopnia lenistwem. A jednak, bardzo często się to zdarza.

I dopiero, kiedy wiosna nadejdzie, kiedy zazwyczaj rozpoczyna się najcięższy czas dla rolnika, związany z powolnem **wyczerpywaniem się zapasów** mowych, kiedy pod strzechy zaczyna zaglądać tem częściej głód, wtedy ostatni zazwyczaj grosz wydaje się na zakup nasion, miast użyć go na pierwsze potrzeby ciała, na chleb, a to wszystko dzięki złemu gospodarowaniu. Zawróćmy więc ze złej drogi, nauczmy się wykorzystać swój zagon, zebrać z niego co tylko się da, uczynić go podatnym na wszystko. Uczmy się myśleć, dociekać, kombinować, ograniczać wydatki, pomnażać zbiory, a zapewne dobrobyt powróci pod strzechy! *J. Mirek.*

PRAKTYCZNE RADY.

Naczyń, które przeszły zapachem cebuli, nie należy zmywać ciepłą wodą, ani mydlinami. Zimna, czysta woda najlepiej usuwa niemiły zapach cebuli, a gdy nie ustąpił jeszcze całkiem, można do wody do mycia naczyń dolać cokolwiek octu i naczynie samo potrzeć jeszcze suchą solą.

* * *

Spróbujcie umieścić w pudełku z chlebem, lub ciastkami, małe, świeże jabłko; nietylko ciasto będzie znacznie dłużej świeże, ale będzie miało zawsze bardzo przyjemny zapach.

Ryż ugotowany do zupy należy z naczynia wygarniać nie łyżką, lecz widelcem, a każde ziarnko będzie oddzielne.

* * *

Srebro po oczyszczeniu należy wytrzeć cytryną, zmyć i wysuszyć, co nada mu ładny, biały połysk, jaki nie da się osiągnąć w inny sposób, przytem trzyma się dłużej czysto niż po zwyczajnem czyszczeniu. Miedziane naczynia czyści się rozkrojoną cytryną, poczem zmywa zimną wodą i wyciera do sucha miękką ściereczką. Będą czyste i błyszczące.

KRONIKA.

20 miljonów zł. na inwestycje. Program robót inwestycyjnych w Polsce w roku 1934 obejmuje roboty meljoracyjne, drogowe kolejowe i budowlane w poszczególnych województwach. Na razie preliminowano na te roboty około 20 miljonów zł.

O jeden miljard zmalały nasze długi. Sejmowa komisja budżetowa rozpoczęła obrady nad preliminarzem budżetu długów państwowych. Sprawozdawca poseł Hutten-Czapski omówił na wstępie operacje kredytowe Polski począwszy od roku 1918. Zadłużenie wewnętrzne wynosi 627,086 515 zł., zadłużenie zagraniczne 3,569,778.374 zł., a więc ogólne zadłużenie państwa wynosi 4,196,864.890 zł. Spadek walut zagranicznych znacznie zmniejszył nasze zadłużenie zagraniczne a nawet wewnętrzne. Na pożyczkach dolarowych skarb państwa zyskał wobec spadku dolara 939,718.983 złotych, a na spadku funta 66,424.123 zł. czyli łącznie nie licząc spadku walut skandynawskich, zadłużenie nasze zmniejszyło się około 1,006,143.100 zł. Doliczywszy do kwoty naszego zadłużenia zadłużenie z 15 lipca 1933 r. w związku z pożyczką elektryfikacyjną, pożyczką narodową i bonami inwestycyjnemi w łącznej sumie 251,412.500 zł. uzyskamy ogólną kwotę zadłużenia skarbu naszego na 4,448,277.390 zł., co na głowę ludności wynosi po 134 zł. 82 gr.

Sprowadzenie do kraju zwłok ś. p. generała Tyszkiewicza. W najbliższym czasie zostaną sprowadzone do kraju zwłoki generała Tadeusza Tyszkiewicza, b. naczelnika Rządu Powstańczego na Litwie w 1831 r., uczestnika powstania kościuszkowskiego i wojen napoleońskich, pochowanego na cmentarzu w Paryżu. Zwłoki spoczną w rodzinnej Świsłoczy na wyraźne życzenie ś. p. gen. Tadeusza Tyszkiewicza, który w testamencie, sporządzonym w dniu 1 lipca 1847 r. w Paryżu poleca swym potomkom, aby prochy jego do Polski przewieźć się starali, „nie wprzódy wszelako, aż Polska byt swój polityczny niepodległy odzyska“.

Cennik dla akuszerek. Władze administracyjne wydały cennik dla felczerów i położnych. Honorarjum felczerów za zabiegi dokonywane w mieście wynosić będzie 3 do 4 zł. Akuszerki przy porodzie mają otrzymywać 40 zł. Wydanie taksy spowodowane było licznemi zatargami, zdarzającemi się na tem polu.

Za fałszywe zeznania. W Sądzie apelacyjnym w Krakowie toczyła się ciekawa rozprawa przeciw Leonowi Rettelcwajnowi, właścicielowi sklepu przy ul. Grodzkiej w Krakowie, oskarżonemu o fałszywe zeznania. Tło sprawy jest następujące: Rettelcwajn zaskarżył do sądu urzędnika kolejowego p. M. P. o zapłacenie 200 złotych tytułem porękі za panią L., która przybyła do sklepu w jego towarzystwie i nabrała towarów. Na rozprawie urzędnik kolejowy tłómaczył się, że tylko przygodnie towarzyszył pani L. i nie udzielał za nią żadnych poręczeń. Rettelcwajn zeznał jednak pod przysięgą, że tenże urzędnik ręczył za swą towarzyszkę. Poszkodowany urzędnik kolejowy udał się do Prokuratora i zaskarżył Rettelcwajna o krzywoprzysięstwo. Sąd skazał właściciela sklepu na surową karę 8 miesięcy bezwzględnego więzienia. Skazany apelował i w Sądzie apelacyjnym Rettelcwajn tłómaczył się tem, że fałszywie rozumiał rolę urzędnika kolejowego i w dobrej wierze przysiągł, że tamten poręczył za swą towarzyszkę. Trybunał uznał jednak winę kupca, zmniejszył mu jednak karę na 3 miesiące z zawieszeniem na 5 lat.

Kołem i kamieniami. W Golkowicach koło Krakowa wynikła 4 sierpnia ub. roku gwałtowna bijatyka rodzinna. Najpierw Józef i Antoni Jałochowie pobili na drodze swego krewnego Antoniego Bobka, do którego czuli złość. Ale to nie zadowoliło Jałochów. Udali się do wsi i wzięli do pomocy Józefa Pamułę i drugiego Ant. Jachochę. Zaczaili się w czwórkę i powtórnie napadli na przechodzącego Bobka. Zaczęli go szarpać i bić kołem. Z trudem udało się Bobkowi ujść z rąk napastników, a uwolnienie zawdzięczał głównie pomocy swej siostry, Reginy Jałechowej i jej syna Stanisława. Wówczas rozwścieczeni parobcy obrzucili matkę i syna kamieniami. Stanisław uderzony kamieniem w głowę padł na ziemię, a przewieziony do szpitala zmarł. W Sądzie okr. karnym odbyła się rozprawa przeciwko zbrodniczej czwórce. Trybunał po naradzie skazał Józefa i Antoniego Jałochów, oraz J. Pamułę na półtora roku więzienia; drugiego Antoniego Jałochę na 1 rok więzienia z zawieszeniem na 4 lata.

W drodze zgubił nogę. Pod Bachórzem koło Przemyśla znaleziono na drodze ludzką nogę. Niesamowity ten przypadek był przyczyną szeregu najrozmaitszych domysłów, a policja wdrożyła dochodzenia. W rezultacie okazało się, iż noga była ucięta jednemu z wieśniaków, a jeden z członków rodziny uprosił w szpitalu, wydanie uciętej nogi, by można nodze urządzić „pogrzeb“. W czasie przewożenia jej na wieś, noga z wozu wypadła. Wśród okolicznej ludności, po wyjaśnieniu nastąpiło uspokojenie.

Morderca oficera polskiego wójtem? W Opretowicach, pow. zbaraskiego, wybrany został wójtem niejaki Andrzej Kozak, przeciwko któremu wyborowi grono obywateli wniosło do władz administracyjnych i ministerstwa spraw wewn. sprzeciw, motywując go tem, „że Kozak, będąc Polakiem, za czasów ukraińskich służył przy armji ukraińskiej i rabował folwarki, zamordował polskiego oficera pod Mikulińcami, jednego polskiego oficera obrabował tak, że zostawił go w bieliźnie mimo zimowej pory“. Na ten memorjał władze administracyjne poleciły Kozakowi wystąpić sądownie przeciw oszczerstwu, co też Kozak uczynił, skarżąc Aleksandra Dubeltę. Sąd grodzki w Zbarażu po przesłuchaniu świadków uznał dowód prawdy za niezupełny i wykazujący pewne luki i zasądził Dubelta za oszczerstwo. Wskutek odwołania Dubelta, sprawa przeprowadzona została w okręgowym Sądzie tarnopolskim, jako apelacyjnym, który ponownie przesłuchał świadków, poważnych i wiarygodnych, i ustalił w wyroku jako stanowczo udowodnione zarzuty podniesione w zażaleniu do ministerstwa spraw wewn. Kozak wniósł obecnie kasację do Sądu Najwyższego.

Tragiczny wypadek narciarza. Onegdaj w Sanoku zdarzył się tragiczny wypadek. Jadąc na nartach w pełnym pędzie stromą ulicą uczeń Herzig, wpadł pod konie jadącego wozu, zdążającego właśnie pod górę. Koń uderzył chłopca kopytem w głowę, załamując mu czaszkę. Krwią zalanego chłopca zaniesiono natychmiast do szpitala, gdzie przeprowadzono operację.

Zajęcie krowy za 3 zł. 75 gr. We wsi Chałupki Morawickie w Kieleckiem zajął sekwestrator skarbo-

wy wieśniaczce Katarzynie Kiopińskiej, gospodarującej na 2-morgowem gospodarstwie jedyną krowę za zaległości podatkowe w sumie 3 zł. 75 gr. Zajęcia dokonano podczas nieobecności Ciopińskiej. Zajęcie krowy za tak małą zaległość podatkową wywołało powszechne poruszenie w gminie.

Defraudacja 700 000 zł. w żydowskim banku. W miasteczku Wyszków nad Bugiem wykryto olbrzymią aferę w tamtejszym Żydowskim Banku Ludowym. W czasie rewizji ksiąg bankowych obliczono braki w kasie na 700 tysięcy złotych. Wobec tego aresztowano dyrektora banku Jankiela Przemiarowera i wiceprezesa Goldmana. Działali oni na szkodę powierzonej ich opiece instytucji.

Podstęp komornika tłem procesu. Sąd okręg. w Warszawie rozważał ostatnio sprawę Felicji Galik, oskarżonej o fałszywe oszczerstwo osoby urzędowej Oto według jej relacji, do mieszkania przybył komornik Święcicki, który widząc drzwi zamknięte, zapukał i oświadczył, że przychodzi z listem od jakiegoś p. Michalskiego. Galikowa otworzyła drzwi a wówczas komornik opieczętował meble. Galikowa zaskarżyła wtedy komornika o podstępne dostanie się do mieszkania. Prokurator jednak nie dopatrzył się w postępowaniu komornika cech przestępstwa, natomiast sporządził akt oskarżenia przeciw Galikowej o fałszywe oskarżenie osoby urzędowej. Galikowa została skazana na trzy miesiące więzienia.

Żydzi a służba wojskowa. Na podstawie warszawskiego Dziennika Wojewódzkiego wśród 2 171 poborowych z rocznika 1910, którzy się uchylali od służby wojskowej, było 825 żydów. Inne wykazy obejmują 1890 poborowych, wśród nich 779 żydów. Procent żydów uchylających się od służby wojskowej jest więc parokrotnie wyższy od procentu ludności żydowskiej w Polsce. Należałoby z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski. Były propozycje, aby zupełnie zwolnić żydów z obowiązku służby wojskowej, ale za to ograniczyć ich niektóre prawa.

Dwa lata więzienia za fałszerstwo listu. Właściciel hotelu „Rosja" w Warszawie, Binenstock, miał proces o niezwykłe fałszerstwo. Chodziło o uniemożliwienie licytacji zagrażającej Binensztokowi, z powodu długu 100 zł. Napisał więc podstępny list do komornika, rzekomo w imieniu wierzyciela, zawiadamiając, że należytość jest już uregulowana i licytacja niepotrzebna. Komornik potraktował list jako prawdziwy. Okazało się wszakże po niewczasie, że był to pomysł Binensztoka, który dopiął swego unikając licytacji. Sprawa dostała się do sądu, który Binensztoka skazał na dwa lata więzienia.

Wykopany skarb. Dyrekcja państwowych zbiorow sztuki zakupiła skarb wykopany w gminie Karczmiska, powiatu puławskiego, składający się z 4 500 monet, między któremi znajdują się monety z epoki Bolesława Krzywoustego, oraz dynary krzyżowe. Wykopalisko to ze względów naukowych przedstawia bardzo znaczną wartość.

Tragiczny wypadek w Łodzi. Na terenie fabryki przetworów chemicznych „Meteor" w Łodzi zdarzył się tragiczny wypadek, który pociągnął za sobą kilka ofiar. Mianowicie do chorego konia wezwano weterynarza Kasprzaka, aby zrobił zwierzęciu zastrzyk. Gdy po dokonaniu zastrzyku koń zaczął zdradzać objawy wielkiego niepokoju, majster fabryczny Lewkowicz wraz z weterynarzem Kasprzakiem zaprzęgli konia do bryczki, chcąc w ten sposób go uspokoić. Koń jednak w szalonym pędzie przewrócił bryczkę przygniatając obu. Lewkowicz zmarł z odniesionych ran na miejscu, zaś Kasprzak zmarł po przewiezieniu go do szpitala. Oszalały koń wpadł następnie na ul. Piotrowską i ciężko poranił trzech przechodniów. Wszystkie ofiary wypadku odwieziono do szpitala.

Napad na sekwestratora. W Jagodzinie koło Łucka u Henryka Grzybowskiego zjawił się sekwestrator celem dokonania egzekucji. Gospodarz przeciwstawił się tej czynności, twierdząc, że nie posiada pieniędzy na zapłacenie podatku. Kiedy jednak urzędnik przystąpił do zajmowania ruchomości, Grzybowski rzucił się na niego i począł go dusić. Sekwestrator wyciągnął wówczas rewolwer i oddał strzał, raniąc gospodarza w lewą rękę. Policja położyła kres zajściu.

Kara śmierci. W poprzednim numerze podaliśmy wiadomość o zastrzeleniu policjanta Ignacego Maciejewskiego w Białymstoku przez szeregowca Jana Ciborowskiego, który następnie we wsi Ławiska ranił ciężko z karabinu innego policjanta, który go chciał ująć. W ubiegły piątek Ciborowski stanął przed wojskowym sądem doraźnym i skazany został na karę śmierci. Ciborowski przez cały czas rozprawy jak i po wyroku zachowywał się spokojnie. Gdy mu zaproponowano odwołanie się do łaski Pana Prezydenta, oświadczył, że nie chce żadnej łaski. Mimo to obrońca i sąd odnieśli się o łaskę do Pana Prezydenta, który nie skorzystał z przysługującego mu prawa łaski wobec czego wyrok został wykonany.

Wyrok na szpiegów. Przed ostrowskim sądem okręgowym odbyła się rozprawa o szpiegostwo w trybie doraźnym przeciwko 5 obywatelom niemieckim, Rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Wyrok ogłoszono jawnie. Dwoje oskarżonych Wiktor Nowak i Marja Mohr skazanych zostało zasadniczo na karę śmierci, przyczem karę złagodzono na dożywatnie więzienie. Adolf Sommer skazany został za pomoc udzieloną agentom na 10 lat więzienia, zaś sprawę dalszych dwóch oskarżonych postanowiono przekazać do postępowania zwykłego sądu.

Rozjuszony niedźwiedź. W wielkich lasach koło Kocka (niedaleko Nieświeża) robotnicy leśni zbudzili niedźwiedzia, śpiącego w zimowym barłogu. Rozjuszony zwierz stał się postrachem okolicy, toteż urządzono na niego wielkie polowanie. Ostatecznie niedźwiedź nie skierował się na linję strzału, lecz rzucił się na naganiaczy. Jednego z nich odrazu zmasakrował silnem uderzeniem łapy i rzucił się na drugiego. Przestraszony naganiacz chciał wskoczyć na drzewo, lecz nie zdążył i niedźwiedź zdarł mu skórę z nóg, oraz bardzo poszarpał mięśnie. Obu naganiaczy w stanie beznadziejnym przewieziono do szpitala. Na szczęście trzeci naganiacz zdołał ukryć się pod wykrotem drzewa i niedźwiedź tylko lekko go zranił. Po tem wszystkiem niedźwiedź uciekł i przebywa obecnie w lasach. Jest to tak zły i ogromny okaz, że nie słychać na razie o amatorach, którzyby chcieli zorganizować na niego polowanie.

Niesłychane skutki paniki. W Kioto, w Japonji, na stacji podczas pożegnania odjeżdżających rekrutów marynarki do służby frontowej, zapanował nieopisany ścisk, przyczem wybuchła panika, w której poniosło śmierć 71 osób, a 56 odniosło poważne rany. Ludzie ogarnięci paniką tratowali dzieci i kobiety, nie mogąc ich w tłumie ominąć. Dokładnej przyczyny wypadku nie można jeszcze dotychczas ustalić.

Polak nie dostał zasiłku. Bezrobotny Polak Jan Pionk zgłosił się do urzędu biura akcji pomocy zimowej dla bezrobotnych w Nowym Porcie w Gdańsku, prosząc o przydział węgla tak samo, jak i dla bezrobotnych niemieckich. Odnośny urzędnik odmówił mu jednak wydania węgla, uzasadniając odmowę tem, że Pionk posyła swe dzieci do ochronki i szkoły polskiej.

Ciężki zawód kata. Trzeci kat Rzeszy niemieckiej zgłosił swą dymisję, po wykonaniu 50 wyroków śmierci.

Ostatni raz „urzędował“ on podczas stracenia trzech młodych robotników, którzy zostali ścięci toporem. Podczas tej egzekucji kat Groeppler załamał się nerwowo, gdy skazańców, wydających nieludzkie krzyki, wleczono na szafot. Po ścięciu owych trzech młodocianych robotników oświadczył ów kat, że nie czuje się na siłach wykonywać nadal swych obowiązków. Następcą jego został rzeźnik koński Bollmann z Magdeburga.

11 tysięcy dzieł wróciło do Polski. Jak wiadomo tak Rosja carska jakoteż bolszewicy podczas wojny rabowali w Polsce co tylko się dało. Układem pokojowym ryskim zobowiązali się bolszewicy zwrócić te zrabowane rzeczy, do których też należą nieocenionej wartości obrazy, arrasy, gobeliny, makaty, dywany i t. p., które już w części wydane nam zostały. W ubiegłym tygodniu nadszedł do Warszawy transport złożony ze 113 skrzyń, zawierających około 11 tysięcy dzieł, odzyskanych ze zbiorów Bibljoteki publicznej w Petersburgu. Zbiór ten składa się z druków z XVI do XVIII wieku, stanowiąc częściowo książki z Bibljoteki Załuskich, częściowo zaś druki o charakterze ekwiwalentur. Prace nad odzyskaniem reszty druków i rękopisów Bibljoteki Załuskich dobiegają końca.

Zgon małżonki Paderewskiego. W Szwajcarji, w Morges, zmarła w wieku lat 74 w ubiegły wtorek ś. p. Helena Paderewska, małżonka wielkiego wirtuoza, kompozytora i działacza polskiego.

Umierający lekarz przeprowadził operację. W niebywałych okolicznościach zmarł wybitny lekarz specjalista, prof. Triolo, docent uniwersytetu rzymskiego. Wezwany do położnicy prof. Triolo podczas zabiegu chirurgicznego dostał ataku sercowego i jedynie siłą woli doprowadził zabieg do końca. Po skończonej operacji zmarł. Pogrzeb zmarłego profesora zamienił się w wielką manifestację żałobną.

Z Ligi Narodów. Odbywa się obecnie 78 ma sesja Rady Ligi Narodów, którą otworzył polski minister spraw zagranicznych Beck, obrany niedawno na przewodniczącego. Jest to pierwsze posiedzenie Rady Ligi Narodów bez Niemców, którzy z Ligi Narodów wystąpili, z powodu, że ta Liga Narodów nie da im się dozbroić i nie ma ochoty wogóle zmieniać traktatu wersalskiego co do jakiejkolwiek zmiany granic. W miejsce Niemców prawdopodobnie wkrótce wejdzie do Ligi Narodów Rosja sowiecka. Również nie należy do Ligi Narodów Japonja, która nie przyjęła zaleceń Ligi Narodów w wojnie japońsko chińskiej i zgłosiła wystąpienie, działając według własnej woli, wskutek czego stworzone przez Japonję w wyniku zwycięskiej wojny państwo mandżurskie nie zostało przez państwa należące do Ligi Narodów uznane.

Na porządku dziennym obrad Ligi Narodów znajduje się sprawa przygotowania plebiscytu w Zagłębiu Saary, który wedle postanowień traktatu wersalskiego odbyć się musi w styczniu 1935 r. Zagłębie Saary, jest to obszar olbrzymich kopalni na granicy Niemiec i Francji, oddany na 15 lat pod zarząd Ligi Narodów. Zatem w styczniu przyszłego roku ludność tego Zagłębia wypowie się czy nadal chce podpadać pod zarząd Ligi Narodów, czy chce należeć do Francji, czy też do Niemiec. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy użyją największych wysiłków, aby przy głosowaniu ludność Zagłębia Saary, liczącą 770.000 mieszkańców, dla siebie pozyskać, tembardziej, że kapalnie węgla jak i rudy są najbogatszemi złożami na świecie, podobnie jak kopalnie na Górnym Śląsku. Wprawdzie ludność Zagłębia Saary w większości swej jest niemiecka, lecz wątpić należy, by ta ludność zechciała pójść ob cnie pod rządy hitlerowskie, zważywszy, że wśród tej ludności robotniczej większość stanowią socjaliści i komuniści.

Najdroższy pies na świecie. Najwyższą cenę dotąd notowaną za psa uzyskała niejaka miss Jane Lanc w Londynie, znana miłośniczka i hodowczyni rasowych psów. Mianowicie pewien amator amerykański zapłacił jej 3.500 dolarów za miniaturowego pudla, zwanego „Nauson Duc“ najczystszej rasy.

O nowy rekord w stratosferze. Amerykański komandor Settle, który w ostatnim swym locie do stratosfery osiągnął wysokość 18.665 metrów, zapowiada nowy lot do stratosfery z majorem Fordney z marynarki wojennej. Obaj lotnicy spodziewają się osiągnąć tym razem wysokość 24 000 metrów.

500 miljonów na sprawunki świąteczne. Według zestawień ministerstwa handlu ludność Stanów Zjednoczonych wydała na sprawunki świąteczne zgórą 500 miljonów dolarów, a więc o 135 miljonów więcej niż w roku ubiegłym. Jedni widzą w tem załamywanie się kryzysu, drudzy zaś widzą chwilowe wyzbywanie się dolara w obawie przed jego spadkiem.

Straszne skutki trzęsienia ziemi. Indje nawiedziło straszne trzęsienie ziemi. Miasto Mazaffarpur leży w gruzach. Na ulicach widać setki trupów. Komunikacja z tem miastem została przerwana. Taki sam los spotkał miasto Monghyr liczące 36 000 mieszkańców. Według dotychczasowych obliczeń liczba zabitych sięga 8 000 osób. Lotnicy, którzy oblatywali tereny zniszczone przez trzęsienie ziemi, składają meldunki, że w wielu miejscowościach, gdzie znajdowały się osiedla ludzkie, dzisiaj są olbrzymie jeziora wody. Na polach i drogach leży mnóstwo trupów ludzkich i zwierzęcych.

Tajfun przewrócił okręt. W pobliżu południowo-zachodniego wybrzeża chińskiego parowiec pasażerski zaskoczony został przez nadciągający tajfun. Mimo rozpaczliwych wysiłków załogi, okręt stracił równowagę i przewrócił się. Wszyscy pasażerowie w liczbie 28 zatonęli, załoga jednak, złożona z dobrych pływaków, uratowała się.

Znalazł djament wartości 2,250.000 złotych. Z Kapstadu donoszą o znalezieniu w odległości 20 mil na północ od Pretorji w piaskach pewnej rolniczej fermy dwu nadzwyczajnych zarówno co do wielkości jak i co do gatunku djamentów. Jeden z nich waży 726 karatów, drugi 500 karatów. Większy djament jest okazem wspaniałym. Znalazcy zaproponowano za większy djament 75 tysięcy funtów szterlingów, znalazca jednak ofertę tę odrzucił.

Tragiczne skutki oberwania się gzymsu. W czasie największego ruchu ulicznego w Bydgoszczy przy ulicy Gdańskiej 27 urwała się część muru wraz z cementową figurą przedstawiającą anioła. Spadające odłamy muru uderzyły dwóch przechodniów w głowę. Karetki pogotowia ratunkowego przewiozły rannych do szpitala, gdzie zmarli nie odzyskawszy przytomności.

Pies zagryzł sto wężów. W indyjskiem mieście Hyderabad zginął przed kilku dniami słynny pies, znany ogólnie w tem mieście. Pies ten, wabiący się Jill, należał do pewnego prawnika. Umiał on zręcznie atakować jadowite węże i zagryzać je. W przeciągu ostatnich dwóch lat Jill zagryzł 100 wężów w tem około 30 wężów kobra. Jill odkrywał węże węchem, nawet w głębokich kryjówkach. Zaczajał się na nich i czekał całemi godzinami, dopóki nie wyszły z jamy, potem rzucał się na nie. Jill poniósł śmierć w czasie walki z młodym wężem kobra. Wprawdzie zdołał węża zagryźć i przynieść go zabitego swemu panu, ale wkrótce potem skonał wskutek jadowitego ukąszenia w szyję.

Wszystkie zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Rzeczy ciekawe.



Powódź w Anglji.

We wszystkich krajach środkowej i północnej Europy grudzień zawitał śnieżny i mroźny. Styczeń zaś łagodny a ku końcowi ciepły. Ciepłe powietrze spowodowało topnienie dość obfitych szczególnie w Anglji śniegów. Wskutek tej cieplejszej temperatury w Anglji poczęły wzbierać rzeki i potoki rozlewając się szeroko, jak to widzimy na naszym obrazku, które jest fotograficznem zdjęciem. Rzeka wezbrała groźnie i zalewa już domy, szerząc niemały postrach wśród mieszkańców nadbrzeżnych.

Ni to roślina, ni to ryba „konik morski".

Konik morski jest jednym z ciekawszych stworów zapełniających morza południowe.

Zwierzątko żyjące jak roślina z cechami kameleona i, co najważniejsze, że samczyk spełnia funkcje samiczki. Zwany jest morskim konikiem już przez starożytnych Greków, nie dla końskich obyczai, ale raczej przez podobieństwo swej postaci do stylizowanej głowy końskiej, względnie do figury szachowej, zwanej konikiem.

Konik żyje przeważnie w morzu Śródziemnem, lecz spotykany bywa w naszym Bałtyku również. — Pokryty mocnym pancerzem, który go chroni przed apetytem morskich żarłoków, większą część swego życia spędza przyczepiony do jakiejś morskiej rośliny, trwając tak tygodniami nieruchomo, jakby z nią zrośnięty, przyjmując nawet dokładnie barwę współżyjącej rośliny.

Nie fatyguje się też wcale za poszukiwaniem pożywienia, lecz czeka spokojnie, aż zdobycz sama do niego się zbliży. Widząc jednocześnie do przodu i tyłu zdobycz spostrzega z łatwością i zwracając w tę stronę swój wydłużony ryjek, potężnym haustem wciąga niebaczne stworzonko wraz z wodą. Ta naturalna pompa jest tak silna, że pociągane bywają jednocześnie nawet i małe rybki, z któremi nie może już sobie dać rady.

O rozmnażaniu się konika pisał Arystoteles w ten sposób: „gdy przychodzi czas rozmnażania się, ryba ta pęka i ikra wydostaje się nazewnątrz. Potem rana goi się i ryba żyje dalej". Nie jest to tak, jak pisze Arystoteles, ale coś podobnego. Otóż samiczka składa ikrę, ale nie do wody, lub do mułu, jakby to się zdawało, lecz do torby, którą na podobieństwo kangura posiada samczyk.

Jajeczka ikry tam dojrzewają i, gdy już wyrosną, torba gwałtownie otwiera się i wyrzuca już żywe młode koniki.

Fantazja Greków przypisywała konikowi różne czarodziejskie właściwości, np. noszenia konika przy sobie zapewniało powodzenie w miłości.

Trędowaci w Abisynji.

Abisynja jest krajem może najwięcej nawiedzonym przez tę straszną chorobę, jaką jest trąd. Mimo wielkiej ilości nieszczęśliwych, znajduje się tylko jedna stacja — św. Antoniego w Harar, w której chorzy doznają racjonalnej opieki. Założył ją w r. 1901 biskup Jarosseau. Schronisko jest bardzo małe i ubogie, jednak opiekuje się już 50 trędowatymi. Od 2-ch lat kierownictwo szpitala spoczywa w energicznych rękach Dr. Feron'a, lekarza fakultetu medycznego uniwersytetu paryskiego. Dzielny ten człowiek niesie pomoc nietylko tym, którzy znajdują się w obrębie jego szpitala, ale działalność swą rozprzestrzenia na cały prawie kraj.

Z najdalszych okolic schodzą się nieszczęśliwi — by z rąk lekarza uzyskać trochę ulgi. W ciągu dwóch lat 300 trędowatych odwiedziło doktora. Wielu też zgodziło się w dalszym ciągu stosować jego kurację. Jednak większa ich część prowadzi życie koczownicze, przebiegając ogromne nieraz połacie kraju. — Śmiertelność jest wśród zarażonych stosunkowo mała, w ciągu dwóch lat zmarło 17. Prawie wszyscy nawracają się, a od 31 lat ani jeden nie umarł bez chrztu. Nawracanie trędowatych, pozostających poza stacją, jest bardzo trudne. Zasadniczo nawracają się łatwo, lecz lękają się utracić jałmużnę, jakiej muzułmanie im nie szczędzą.

Doktór Feron, którego trędowaci nazywają „Doktorem Boga" przyczynia się bardzo do ewangelizacji kraju.

„Moneta" obiegowa u narodów pierwotnych.

Na półwyspie malajskim znajdowała się do niedawna w obiegu drobna moneta, podobna do okrągłych opłatków, wyrabiana z żywicy. Wartość jej

była niezmiernie niska, gdyż 10.000 takich krążków równało się ledwie wartości pięciu groszy. Na wyspach oceanu Indyjskiego muszle używane są jako pieniądze. Między mieszkańcami Kalifornji pewien gatunek muszli był tak wysoko ceniony, że za jedną muszlę można było nabyć konia. Na wyspach oceanu Spokojnego czerwone pióra zastępują monetę. U Tatarów służą na ten cel paczki herbaty. Od najdawniejszych czasów zboże miało taki sam obieg, jak pieniądze. W Nowej Funlandji używano do tego stokfiszów. W Abisynji, Meksyku i na Sumatrze sól krążyła jako moneta. Jeszcze w zeszłem stuleciu, w Wirginji, posiłkowano się w tym celu tytoniem, a w Indjach zachodnich cukrem.

Ile waży miljard?

Miljard w srebrze waży 5.000.000 kilogr., w złocie 322.580 kilogr., w biletach bankowych 1.000-frankowych 1.780 kilogr., w biletach 100-frankowych — 11.500 kilogr. Ażeby przenieść miljard w papierach tysiąc frankowych potrzeba 18 ludzi; do przeniesienia takiej sumy w biletach stu frankowych wystarczy 115 ludzi; do miljarda w złocie 3.225, w srebrze zaś 50.000 ludzi. Miljard w biletach tysiąc frankowych utworzyłby 2.000 tomów, z których każdy miałby 5.000 kart.

Dziwne zwyczaje.

We Flandrji istnieje ciekawy zwyczaj.

Na wiosnę stróż kościelny wypatruje z dzwonicy przylotu pierwszej jaskółki i ogłasza o tem szczęśliwem zdarzeniu trąbą. Stróż otrzymuje za swój trud dość wysokie wynagrodzenie, a ludność miast i wsi udaje się tłumnie do kawiarni i szynków, aby upamiętnić z kielichem w ręku radosną nowinę.

W Bułgarji natomiast istnieje zwyczaj wypatrywania pierwszego wilka.

W zimie, gdy spadnie pierwszy śnieg, specjalny wysłannik wsi wspina się na wieżę cerkiewną i zapomocą lornetki bada horyzont. Gdy zauważy zjawienie się pierwszego wilka, bije na alarm w dzwony.

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Koptowicz** w P. Z.: Nadesłany wiersz do „Roli" niezdatny. **Teofil Stolarz** w M. D.: Utwory na konkurs otrzymaliśmy. Poprzednio nadesłane utwory częściowo zamieściliśmy, a inne też będą zamieszczone. Za nowego prenumeratora dziękujemy. Również za życzenia serdecznie dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. **St. Garstka** w J.: Wiersz lichy, a chociażby i dobry był, to pocóż dokuczać pannie, która teraz patrzy na smutne skutki swojej lekkomyślności? Sam Pan przyzna, że sprawa ta bardzo przykra i niejedna już przez to życie sobie odebrała. **Stanisław Gucik** w L. M.: Oczywiście poświęcenem wyłącznie sprawom gminnym, nie wiemy. Ustawę o gminach wiejskich ma księgarnia Gebethnera, Kraków, Rynek. — Niech Pan napisze i dołączy znaczek. **Kazimierz Działa** w C.: Utwór na konkurs otrzymaliśmy. Czek również został wysłany. **Jan Liwosz** w K.: Utwór na konkurs otrzymaliśmy. **Karol Kania** w G.: Dziękujemy, czek posłaliśmy. **Tomasz Sowiński** w S.: Początkowe numera z czekiem wysłaliśmy — dziękujemy. **Paweł Zając** w J.: Za tak miłe słowa zachęty dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy Pana. Numera od N. Roku z czekiem wysłaliśmy. Prosimy nadal o pamięć. **Jan Kozłowski** w G.: Dziękujemy czek z numerami posłany.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyli bracia Weberowie z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Robotnik.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Trunek
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Duża łódź.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd do podpierania.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Część oblicza (zdrobniale)
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gród.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Żyje w wodzie (zdrobn.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.

Litery wstawione w miejs.e kwadracików, czytane z góry na dół, dadzą nam nazwisko znane z „Roli".

2. Kryptogramy.

(Ułożył Leopold Wołek z B.).

I.

..o .a .a.ie..e .e..e .e.
.a i .ie..ia.e ..o.o

II.

.a.ó. .ez .o..a .e.. .a.
...o.a .e. .a..e..a

Zamiast kropek wstawić spółgłoski i odczytać złote myśli.

3. Szarady.

(Ułożył Kazimierz Mazurkiewicz z W.).

I.

Pierwsze i drugie zniszczenie, śmierć głosi,
Drugie z trzeciem z wulkanów się roznosi,
Drugiego z pierwszem kto pisze używa,
Całe istota wielce nieszczęśliwa.

II.

Pierwsze i drugie w salonie się mieści,
Pierwsze i czwarte złe roznoszą wieści.
Trzecie i czwarte potrzeba krawcowi,
Całe człek, jaki? kto zgadnie, obw eści.

III.

Pierwsze znajdziecie w alfabecie,
Samogłoska jest to przecie
Drugie zwierzę dobrze znane,
Do roboty używane.
Całość nazwa ryby będzie,
Którą złowisz, lecz nie wszędzie.

4. Łamigłówka.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Posterunek, sanki, miska, ławka, wprzód, Rzym, Tybr, mysz, zebra wschód, kinoteatr.

Z powyższych wyrazów wyjąć po dwie obok siebie stojące litery tak, aby dały imię i nazwisko pisarza polskiego.

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył Leopold Wołek z B.).

I.

EMIŁ TOJRAB.

II.

JAN CYTE.

Z liter ułożyć imiona ich ojców.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 3 lutego b. r.

Znaczenie zagadek z Nr. 3 „Roli": 1. Uzupełnianka: Pasztet, opactwo, szpaler, lampart, Hiszpan, Xantypa. 2. Zagadki: Sęk-kęs, Jasiek. 3. Szarady: Kukurydza, tulipany. 4. Zagadki żartobliwe: Nowy Rok, Wielkanoc; literę „u"; bo las do niej nie przyleci; zaczyna się wronie rok siódmy; mokrych. 5. Bilety wizytowe: Michał, Bonifacy, Anastazy.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Feliks Popielarczyk z S., Józef Zygmunt z K., Piotr Nowak z Ż., Karol Głowacki z P., Józef Kowalski z W. W., Janina Turska z K., Jan Gofroń z J. i Jan Knapik.

Nagrody otrzymali pp.: Piotr Nowak z Ż. i Jan Gofroń z J.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Feliks Kowalczyk.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Bez zmiany.

— Emma przed kilkunastu laty była bardzo piękna, ale strasznie głupia. Przez tyle lat nic się nie zmieniła.

— Czy ciągle taka ładna?

— Nie, tylko taka głupia.

Przedzeszłoroczne nogi.

— Te buty mi też nie odpowiadają. Może ma pani nieco szersze.

— Tego roku nie są modne szerokie buty, tylko wąskie.

— Ależ moja pani, wszak mam nogi jeszcze z przed zeszłego roku!

U bezrobotnego.

— Mężu — woła uradowana żona bezrobotnego — nasz synek dostał odrazu dwa ząbki?

— Nie wiem na co? — odpowiada z westchnieniem ojciec.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 23 stycznia b. r.

Pszenica	21·00—21·25	Słoma długa	3·50—3·75
Żyto .	14·00—14·25	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	11·25—11·59	Koniczyna na-sienn. czer.	160·00—190·00
Jęczmień .	13·25—14·00	Mąka żytnia	23·75—24·00
Fasola biała	27·00—28·00	Mąka pszen.	38·00—38·50
Groch zwyk.	26·00—27·00	Otręby pszen.	9·50—9·75
Siano słodk.	6·50—7·00	Otręby żytnie	9·40—9·60
Łubin żółty	10·00—10·25	Mąka czerw.	12·00—12·50
Konicz pastew.	7·00—8·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.